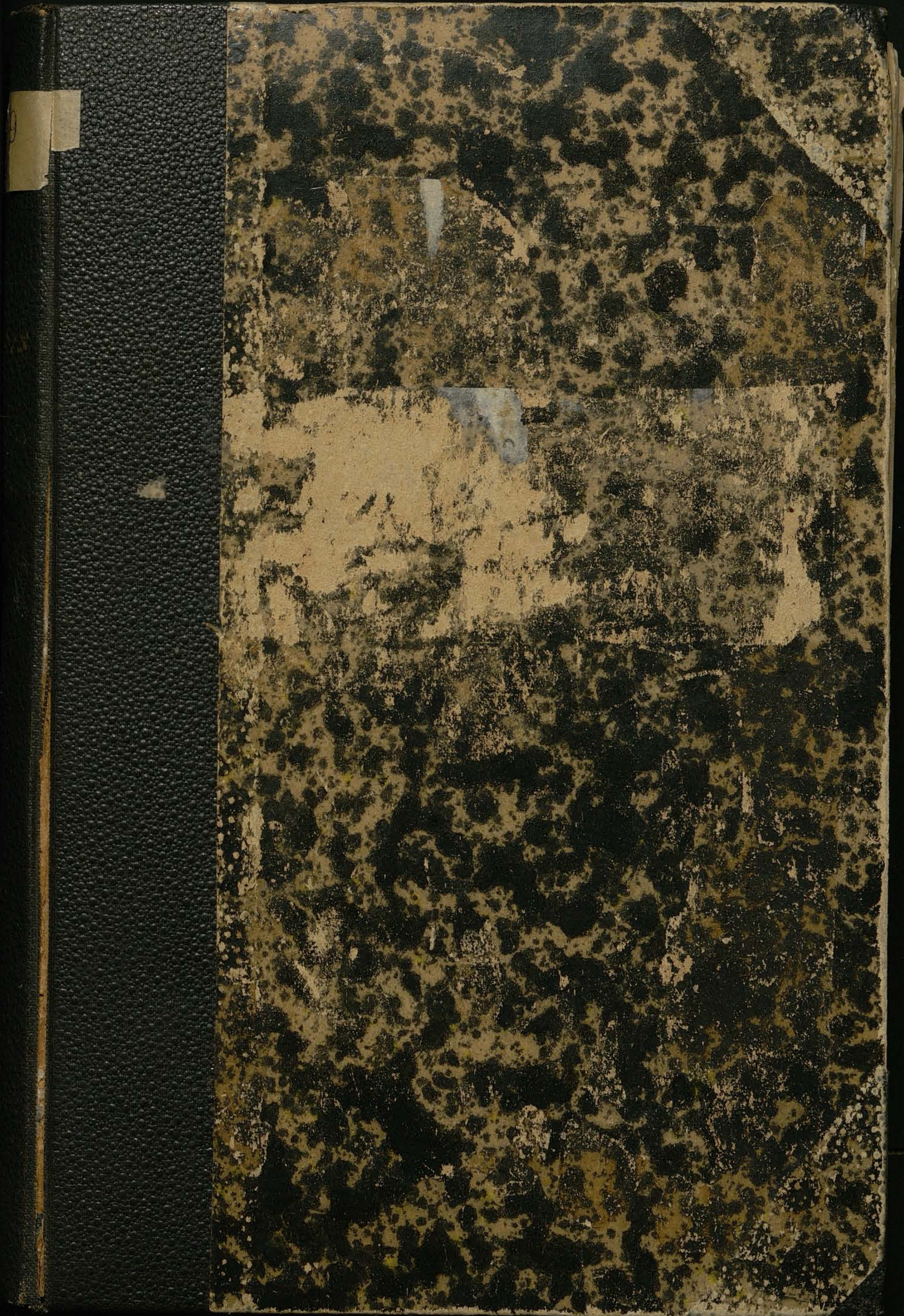




PRZEJAZDŻKI NA PEGAZIE.

przez

K. Bąkowskiego

Spis rzeczy:

		str.
1.	Grzeczny panicz, ballada	1.
2.	Do Sokołów	2.
3.	Do odjeżdżającego K. M.	4.
4.	Powitanie Karnawału	5.
5.	Na redutę!	7.
6.	Życzenia M. K	10.
7.	Odpowiedź	12.
8.	Kuplety profesorskie	15.
9.	Do odjeżdżającego K. R	17.
10.	Album Kawalerskie	20.
11.	Dzieci Temidy	31.
12.	Statut Klubu Kawalerskiego	44.
13.	Krakowiak	47
14.	Kuplety Klubowe	48
15.	Wieszczby Pytyi	52.
16.	Epopeja Zakopiańska	55.
17.	Na swojską nutę	92.
18.	Prowizoryum	94.

/.

str.
19. Weksel . . . . 95.
20. Na prowincyi . . . . 96.
21. Testament 98
22. Bajki . . . . 99.
23 Do prof. Olszewskiego . . 100.
24 Awans . . . . 103.
25 Syreny 104
26 Do J. M. 105
27 Figury z Szopki 107
28 Jour-fixe . . . . . . 108.
29 Kuplety . . . . 110.
30 Z ruchu wyborczego . . . 111.
31 Domisienie 112
32 Wyzwolenie 114
33 Skarga 129
34 Secessya . . . . . . 130.
35 Do W. Łepkowskiego . . . 136.
36 Od " " 138
37 Ballada plantacyjna — 140
38 Podróż Karola — 142
39 Jasny dom, Ballada — 150

40. W Kawiarni . . . . 157.
41. Z księgi kryt. automobilisty . . 157
42. Z Włoch 1914. . . . . 161.
43. Wytrwałości! . . . . 163.
44. Nibelungi 166
45. Taktyka 168
46. Warszawa wzięta! 170
47. G. d. T. 171
48. Zajomnicy 172
49. Kania kupą 173
50. Wyodrębniona Galicja — 175

VI

I.

Grzeczny panicz

Ballada.

(Dobrzyński)

Grzmi muzyka wesoło,
Naród ślizga się w koło,
A dwie panny na przodzie
Suną raźno po lodzie.
Kiedy panicz je zoczył,
Zaraz do nich przyskoczył
I w ukłonie się łamie,
I podaje swe ramię.

Paplac, gwarząc wesoło
Suną szybko w około,
A wtem czegoś chce panie,
Panicz woła: Hej Janie!
Zziębły lokaj z nad brzegu
Biegnie zaraz po śniegu,
Pani nóżkę nadstawia
A on łyżwę poprawia.

/.

I znów paplą wesoło
Suną panie w około…
Na powtórne żądanie
Panicz woła: Hej Janie!
Lokaj na staw spoziera,
Zziębłe ręce zaciera,
Biegnie do swych panienek
I poprawia sukienek.

Mrok wieczorny zapada,
Każdy łyżwy odkłada,
Więc na panien żądanie
Panicz woła: Hej Janie!
Nadszedł koniec zabawki,
Powracają z ślizgawki,
A gdy czego chcą panie,
Panicz woła: Hej! Janie!

1884 r.



Do Sokołów.



Już „SOKOŁA“ gotów gmach,
Widać go już zdala,
Dumnie w niebo strzela dach,
W gmachu wielka sala;
W niej posadzka, jakby szkło,
Trambuliny, krążki,
Liny metrów choć ze sto,
Konie, kozły, drążki,
Jasno świeci miejski gaz,
Ciepło miłe w sali,
Bo się zimą w mroźny czas
W czterech piecach pali.

Więc Sokoły, ćwiczcie się,
Gdy Wam życie miłe,
Kto szanuje zdrowie swe,
Niech wyrabia siłę,
A choć spadłby kiedy kto,
Materace nowe
W swa objęcia przyjmą go,
Miękkie, kokosowe.
A w przyszłości, gdy Bóg da,
Więcej zdziała „SOKÓŁ“:
Druga sala nam się zda,
Szatni dziesięć w okół;
Niech po ścianach oko ćmią
Malowidła śliczne,
Niech na sali naszej lśnią
Światła elektryczne!
Wy, Sokoli, dzielni, cni,
Czerpcie siły, zdrowie,
Grosz w kieszeni niech Wam tkwi —
Vivant Sokołowie!

Do odjeżdżającego Koya.

Jutro zabierasz Lary, Penaty,
Wracasz z podnóża ojczystych gór,
Z krainy cudów, w wdzięki bogatej
Pełnej wybojów i w mostach dziur.

Już nie zobaczysz bystrej Łomnicy,
Na Gubałówki nie wyjdziesz szczyt,
Na zwykłej równi w Piastów stolicy
Tak nisko będziesz, że aż wstyd.

Nie będziesz patrzeć z wyżyn Gerlachu
Na padół płaczu poziomy ląd,
Najwyżej chyba staniesz na dachu
A na wycieczkę pójdziesz — na sąd.

Cny Mecenasie, raz tam w Krakowie
Myślą ulecisz do Tatrów hal,
I wspomnisz czasem, jak sąsiadowie
Po Twym wyjeździe zapiją żal.

Lecz przy rozstaniu to mię pociesza,
Że w Zakopanem nie tylko my —
Więc chociaż trutelś się u Kościesza
Przecież Kasprusie przypomną Ci

Że za Krakowem mała drużyna
Wśród lasów, błota, wśród gór i łąk
Stawe po Tobie i Cię wspomina
Rak i Piórkiewicz, Ramult i Bąk.

Więc Cię żegnamy… powstańmy w koło,
Weź każdy kielich i za mną pij
Na pocieszenie krzycząc wesoło:
Cny mecenasie, długo nam żyj!

Powitanie karnawału

Witaj, witaj Karnawale!
Bliskie tańce, bliskie bale,
W kąt porzucić wszystkie sprawy
Bo nadchodzi czas zabawy,

/.

6

Odmłodniejem w tańca szale,
Witaj zatem karnawale!
Piórkiewicz na przedzie
Do tańca powiedzie
Brzeziewicz wysoki
Pójdzie w jego kroki
I puści się w skoki.
A nasz Tonik młody
Z wiatrem ni zawody
Kręci się jak żmija
Pannami wywija
Hołubce wybija.
Zadrżą w koło domu ściany,
Gdy się puścim ostro w tany,
Krew zapłonie w tym chaosie,
Żar zabłyśnie w oku, głosie,
Odmłodniejem w tańca szale,
Witaj, witaj, karnawale!
Przy dźwiękach muzyki
Staną skoczne szyki
Będziemy skakali,
Byle jeść nam dali.
Pić nie żałowali,

./.

7.

Lecz Józio stracony,
Bo już narzeczony,
Wsiędzie z daleka
I myślą ucieka,
Gdzie go panna czeka...



NA REDUTĘ!

Na redutę, miły bracie,
Tam zabawa czeka na cię!
Słodkie tany przy muzyce
I rozkoszne tam dziewice,
Takie miłe, takie wdzięczne
I w przyjęciu takie zręczne
A wesołe młode trzpiotki,
Jak wiewiórki te szczebiotki
Pełne wdzięku i swobody.

Na redutę orle młody!
Na tę biedną czasu dobę
Wśród powszechnych kieszeń pustek
Znajdziesz przecie parę szóstek
Na bilecik, garderobę,
Na posiłek i napitek —

Nie bądź butny i rozrzutny,
Wśród kolegów i kobietek,
Lecz oszczędny i oględny;
Miłe-ć będą takie gody
I nie rzucisz grosz do wody.

Patrz! do pełnéj, jasnéj sali
Tłum młodzieży już się wali:
Kawalerzy i żonaci,
Sądownicy, adwokaci,
I lekarze i baciarze,
I studenci, oficerzy,
Wszystko na redutę bieży!
Tłumy masek ciągną wkoło
A swobodnie, a wesoło,
Całéj ziemi widzisz stroje:
Tu rycerskie błyszczą zbroje,
Tam znów widzisz krymskie burki
I bekieszki i lisiurki,
Tam węgierskie czarne wąsy,
Daléj Hiszpan idzie w pląsy;
Tam żyd tańczy w swym chałacie
Przy nim chłopek w skromnéj szacie,
I duchowny w swym habicie
Tu osładza sobie życie.

A dziewczęta przy ich boku
Nie pociągną-ż twego wzroku!
Ciche szepty, głośne śmiechy,
Ciągłe żarty i uśmiechy,

./.

I swobodna, szczera mowa,
I serdeczne, proste słowa,
Ach! bo tylko szczęścia tyle
Co te nocne dadzą chwile,
Bo o świcie — krwawe życie.

Patrz na ową miłą parkę:
On ma krótką marynarkę
Bródkę małą, lecz spiczastą,
Znać go musi całe miasto —
Ona płocha, niby słucha
Lecz chce „pompnąć“ trochę zucha,
W bufetowe zwraca progi
A mecenas — na to w nogi!

Pan komisarz stoi z boku
Dobro redut ma na oku,
Z szpadą w dłoni baczy pilny
By wojskowy i cywilny
Uszanował godność balu
I nie zrobił gdzie skandalu.

Wśród zabawy czas ucieka,
Do snu ciąży już powieka —
A gdy ranek kur ogłosi,
Każda panna chłopca prosi,
Aby nie iść do dom saméj,
Bo się różnie zdarza w drodze,
Grożą sidła ach! niebodze
Nim do domu dojdzie bramy!

Na redutę, orle młody!
Użyj przecie twéj swobody,

10.

A gdy starość barki schyli,
Dosyć będzie w owéj chwili
Przy kominie, przy rodzinie
Z żoną z boku i w szlafroku
Tańczyć na małżonki nutę...
Teraz bracie — na redutę!

Życzenia

przesłane 23/11 1888 przez M. Koya przy fotografii Wenery Kapitolińskiéj

Myślałem długo — w jakim ci sensie
Mam powinszować Pani Klemensie
Czy mam rozbudzić Twoje zachwyty
To na wymyki — to na wychwyty —
Czy ziarny z ręką puchar lub szklankę
Ciąć epopeję — czy też sielankę —
Aż oko padło — drzwi przebiegł z wieczory! —
Na te Kamienne Kształty Wenery!

I duch mój zadrżał – dotąd się trzęsie
Bo mi przez duszę panie Klemensie
Przeszły obrazy dawnej przeszłości
Gorących uczuć i namiętności
Kiedym na włoskiej stanąwszy ziemi
Przed głazu tego kształtami zimnemi
Stał upojony – krew w żyłach grała
Choć to był kamień bez krwi i ciała!
Dzisiaj że względki na wszystko kłuszą się
Już mnie nie pojąc panie Klemensie
Nawet zwyczajem starego zrzędy
Powiem na ucho że gdym ostemdy
Obiegał brzegi i wrażeń gonił
To choć mi wiersz batram odstawił
Żywą Wenerę – krew nie zagrała
Chociaż tam było dość krwi i ciała!
Chcesz stąd nauki słuchaj i żeń się!
Bo kto rozstnela, panie Klemensie

12.

Zapał młodości ż błędne ogniki
I przez „wychwyty" i przez „wymyki"
Niby to goni a wciąż ucieka
Taka go przyszłości kamienna czeka!
Więc byś z kamienną nie popadł erą
Gwoli przestrogi – ślę tę Wenerę!



23/XI 88 M. Woy

Odpowiedź

z podziękowaniem za powyższe życzenia

Żeś mię obdarzył rzeczą wspaniale
Przyjm moje dzięki Panie Michale,
Daną Wenerę w pięknej oprawie
Na biórku sobie przed oczy stawię
A jej widokiem w stosownej chwili
Krew się rozgrzeje i duch posili

Lecz czy przyjąwszy Pańskie nauki
Przypomni kiedy Wenus cud sztuki,
O tem na razie ja wątpię wcale
Boć przecie przyznasz Panie Michale
Że takich wdzięków jak w tym marmurze
Nigdzie nie znajdę żywych w naturze
Gdyż dzisiaj panie goniąc za szykiem
Gniotą wątrobę ciasnym stanikiem
Sztukują wdzięki wątłe turniurą,
Gdzież tu się spotkać z żywą naturą ?
Samym kontrastem więc Twa Wenera
Do ożenienia chęć mi odbiera.
Taż myśl, jak sądzę, Panie Michale
Do kawalerstwa pchała Cię stale
Więc ją w duchu zbyć się starałeś
I dar Danaów dla mnie posłałeś.
Lecz niech lat parę Pańska Wenera
Swym wdziękiem moje biórko ubiera
Gdy kawalerstwa zaś będę syty
Może nam poszlę ten cud kobiety,

Z czego wniosek taki, że już na czasie
Byś się ożenił cny Mecenasie,
Bo gdy piękności wykutej w skale
Tyś się pozbyłeś panie Michale
Nie będziesz myśleć szukać bogini
Lecz jak rozważny człowiek to czyni
Wyszukasz pannę powabną, młodą,
Zdrową, rozsądną, z wdziękiem, urodą
Zdobędziesz jej serce na zawsze w darze
I poprowadzisz wnet przed ołtarze,
Szukając szczęścia w rodzinnej ciszę
(Epitalamium wtedy ci napiszę)
Rozpoczniesz szybko tę nową erę
Z tą myślą dzięki za Twą Wenerę

Kraków 24/11 1888

Bale

15.

Kuplety profesorskie.

Tam jest stawny kanonista,
Dobry Polak między ini,
Dawniej byłem centralista,
Lecz za bardzo dawnych dni,
Dziś po polsku mam wykłady,
Ganię dawnych rządów wady,
Bóg tak chce etc

Dziś minister rodak w rządzie
Już w durakiż pośród Bach,
Polski język w szkole, w sądzie,
Minął przed Niemcami strach,
Więc po polsku mam wykłady,
Ganię dawnych rządów wady,
Bóg tak chce etc



Mój papa w tem miescie
Pierwszy adwokat
On z radzcami, z adjunktem,
Z każdym za pan brat.
On wszystko podpisze
Bo ma w głowie spryt,
Więc jemu geszefta
Chodzują ganz git.

Mój szwagier z Podgórza,
Auch ein Advocat,
Ten chłopów obdziera,
To dopiero chwat!
A brat Hirsch, choć młody,
Schon ein Conzipient,
Ten też ma kapele,
Będzie trzeci kręt!

Do wyjeżdżającego Kazia

Zasczyknuty rzucaj w kąt
Porzuć próżne trudy,
Pluń na bicykl i na sąd
Rzuć krakowskie nudy.
Gdzie myśl biegła cały rok
Tam spiesz teraz druhu
Ujrzysz znowu czuły wzrok
Wzmożesz się na duchu.
Gdy Ci ~~[illegible]~~ drżącą dłoń
poda
Powita rumieńcem,
toń
W dawnych uczuć wpadniesz
Będziesz znów młodzieńcem,
Będziesz bawić piękność Twoją
Wodzić na spacery.

./.

Gdzie szarotki piękne są
Gdzie żętyca, sery.
Lecz stanowczym trzeba być
Nie dość wzdychać tylko,
Nie dość ciągle czule śnić,
Żyć wciąż jedną chwilką!
O przyszłości myśleć chciej
O stałej przyszłości,
Więc odwagę dzielnie miej
Jej trzeba w miłości.

Pomoc zawsze będziesz miał
Kaki z Tobą pojedzie
On przy Tobie będzie stał
Pomoże Ci w biedzie,
Więc Ci każdy rywal kiep
Niedługo pożyje.

Rak bilardu kulą w łeb
Lub aserem zabije!
Gdy Rak rady nie da sam,
Jak jeden mąż razem
My przyjedziem wszyscy tam
Z prochem i żelazem.
A więc bracie spiesz do gór,
Pijem za Twe zdrowie,
Weź pieniędzy z sobą wór
A wroć — już „po słowie."

8/7 1888 K. B.



Album Kawalerów.

wstęp.

Podstawą bytu ludu, społeczeństwa,
Jest instytucja przyjemna małżeństwa,
Ta instytucja zaś wtedy powstaje
Kiedy parochus proprius ślub daje,
A do parocha wtedy się przychodzi,
Gdy on i ona na jedno się zgodzi.
Panny i wdowy Krakowskiego grodu!
Przecież obchodzi was przyszłość narodu,
Przecież, jak wiele ochoty nie macie
Aby mężczyźni żyli w celibacie?
Z zapatrywania więc wychodząc tego
Tu kandydatów stanu małżeńskiego
Przed oczy stawiam szereg okazały,
Byście o panie! w czem wybierać miały.
Tu ich po wizerunku poznacie, me panie,
Bliższe karnawał nastręczy poznanie,
A gdy się która w którym z nich pokocha,
A on z nią w której — idźcie do parocha.
Księcia Bułgarji w szeregu nie umieszczę
Bo choć bezżenny trudno liczyć jeszcze
Że weźmie stąd z Krakowa żonę,
Choćby wziął — wielożeństwo jest wzbronione
Więc weźmie jedną, nie trzy, dlatego
Że każda weźmie księcia Bułgarskiego,
Opuśćcie nieco ze zbytniej ambicji
I weźcie mężów bez koron z Galicji.

1.

Zawsze kuso jest ubrany,
Nosi marynarkę krótką,
Wąs ma w górę podkręcany,
Jest spiczastą zdobny bródką.
Człek przystojny zresztą wcale,
Lat 30 skończył ale,
Lat 30 i to z górą....
Lecz ma swoje własne biuro
I klienta czasem miewa,
Mieć ich więcej się spodziewa.
Do muzyki ogniem płonie,
Grywa sam na arystonie,
Koncertantkom pomoc daje,
To reklamę dla nich głosi,
To bilety im sprzedaje,
To na koncert ludzi prosi,
Więc mecenas, któż zaprzeczy
Że kandydat jest do rzeczy?

Żaworski

2.

Są do wzięcia dwaj lekarze,
Dwaj z nich zwykle razem w parze

./.

Są na A B wieczorami,
Pierwszy wyższy, z blond baczkami,
Nosi cwikier szylkretowy Dr Koy
Do ożenku jest gotowy,
Bo jest właśnie już w tym wieku
Kiedy żony trzeba człeku.
Drugi żółtą brodę nosi Dmitated
Wszędzie jasny program głosi,
Że go tylko ta dostanie,
Co aptekę ma w swem wianie
Lub 20 nosi tysięcy
Gotów jednak wziąć i więcej.

3.

Trzech doctorów można często
Widzieć razem Ludzie widzą,
Każdy wąs ma, minę gęstą
Zamyślony zwykle chodzi,
A pod pachą każdy ma parę,
Wszystkie wielkie, grube, stare,
To ozdoba uczonego
Warto nosić choć Kateter.
Jeden średni, drugi mały,

23.

Abraham

Dembiński

Trzeci jest nasz okazały,
Chętnie z sobą spacerują
Po ulicy, dysputują,
Nawet wśród wieczorowej pory,
Mądre wiodą rozhowory:
W towarzystwie narzekają,
Ile pracy w domu mają!
Ile uczniów na nich czeka,
Jak im w pracy czas ucieka...

Grube ryby co się zowie,
Będą zaraz profesorowie,
Każda panna wnet pamięta
Miło patrzeć na docenta
Grube ryby – prawda święta!

4.

—

Prawnik dzielny co się zowie
Trochę łysy jest na głowie,
Lecz przystojny zresztą wcale
Zbudowany doskonale,
Dba o zdrowie swe staranie,
Każdej go zalecam pannie,

Bo gdy która go poprosi,
Najgrzeczniejszy pewnie będzie.
Mąż strzec żonki będzie tkliwie,
Zamknie okna, drzwi ~~tro~~ troskliwie
By nie wiało gdzie przez szpary
Co napędzą w nos katary,
By przeciągów tam nie było,
Aby w piecu się paliło —
Gdy na dworze się przejdzie
Żonie płaszcz, kalosze poda
I parasol w rękę wsadzi
I do progu odprowadzi.
Będzie grzeczny jak nikt z ludzi
Nigdy ze snu nie obudzi
I przez długi żywot cały
Nawet on nie będzie śmiały,
Więc szczęśliwą czy nie będzie,
Która sobie weźmie sędzię?

5.

Fierich

Fryzjerskie twory mody:
To hiszpankę nosi małą
To do pełnej wraca brody
To znów strzyże brodę całą
I na baczki chodzi na krótko
Z wąsów potem chodzi z bródką.

Choć kawaler jest starawy
Lubi tańce i zabawy,
Cyrk, reduty, teatr wspiera
Na trawę prędką rad spoziera
~~Wspiera~~ Lubi sztukę, sztuk kapeluszki
Toć kawaler godzien wzmianki

6. Wład Wilkosz

Pośród kandydatów wtorów
Mamy dwóch prokuratorów:
Jeden z nich już zapomniany,
Zeszedł z pola ~~okupowany~~ już nie
Zeszedł z pola okupowany!
Bo opisał raz kobiety.
Na koncerta ni na bale
Dziś nie chodzi on już wcale,
Ni o żonę kandyduje,
Ani wierszy nie rymuje:
Dotknion karą jest przykład
Że się porwał na płeć ładną. 3

Drugi, mądry! nie mię pierze, Fetter
Nawet w bieżę jako szyszę.
Choć mu piąty krzyżyk bierzy,
Zawsze młody, lekki, wierny.
W pełnie czarny pod kręciony;

Kalinowski

Lubi życie, gwar światowy,
Tańczyć całą noc gotowy;
Lecz choć wolny do tej pory,
Chociaż wszędzie jest proszony
Do żeniaczki coś nie skory
Woli bawić cudze żony.

7.

Broda piękna i wąs gładki
Grzeczny, słodki i układny,
Wszędzie bywa, wszędzie znany,
U pań zwłaszcza pożądany,
Bo urządza im pikniki,
I wycieczki i baliki
I ślizgawkę i majówkę,
Nosi paniom szale, mufki,
I płaszczykiem je otuli:
Teraz ćwiczy na rajtszuli
Jazdy konnej trudną sztukę
Skoro skończy raz naukę,
To wyścig wierzchowcami
Wnet urządzi nam z Damami,

7/.

Panom godny zalecenia, —
A już czas mu do żenienia!...
Dobrym mężem pewnie będzie,
Pod pantofel chętnie siędzie,
Już jeżeli nie z miłości
To przynajmniej choć z — grzeczności.

Dobrzyński

8.

Krótki, gruby, uśmiechnięty,
Nos cwikerem ozdobiony,
Okrąglutki i milutki
Ma dopiero dwa podbródki.
Parę razy kandydował
To o mandat i o żonę,
Ale los go prześladował,
Jego chęci nie spełnione.
Biuro dawno już prowadzi,
W gronie ojców miasta radzi,
Może wreszcie posłem zostać —
Toż na męża piękna postać. — Leo adwokat

9.

W swej pracowni chętnie siedzi,
Wynalazki różne śledzi,

./.

(27.)

Na tygielku płyny praży
I atomów ciężar waży
To w retorcie coś gotuje,
I do rury gaz pakuje,
Leje tlenki i etery
Pod ciśnieniem atmosfery
Hygrometry, ciepłomierze
Noniusa dofrąk bierze,
Dwieście stopni niżej zera
Gazy płynne w flaszki zbiera,
Potem wolność im daruje,
I gaz znowu ulatuje,
Leci, płynie, jakby chmura,
Z niego tworzy się figura,
Jak Świętemu Antoniemu
Tak pokusa błyska jemu:
Nad retortą w kłębach gazu,
Dziewczę, piękne jak z obrazu
Patrzy, nogą na fizyka,
Dłoń wyciąga – płynie – znika.
Znikły gazy i marzenia
Przyszły twarde przywidzenia
Zakończona dzienna praca
Fizyk znów do ludzi wraca
Bo wszystko pracy samej
I pracowni on hołduje
Gwarem, ludzi bawić damy,

/.

prof. Olszewski

Płeć niewieścią adoruje,
Nosi pannom cukry, kwiatki
I karmelki i pomadki,
Chętnie z niemi spaceruje,
Ale chęci coś nie czuje
Jednej tylko adoracją
Się na zawsze ofiarować –
Ale może ma i racją,
Bo się gotów rozczarować;
Dla płci pięknej uwielbienie,
Może szwanku by doznało,
Gdyby lepiej się poznało
Obok światła także cienie..

10.

Już czterdziestkę może liczy, Kaczmarski Wład.
Ma blond włosy, jasnooki,
Jasną brodę, wzrost wysoki,
Przedsiębiorczy budowniczy
Ma w kieszeni grosz ćmikony,
Co rok stawia nowe domy,
Cienkie ściany otynkuje,
Jakoś wszerz przybuduje,
Okituje, omaluje –
Domek ładny jest na oko,

?

Coś gotyku, coś rococo
Wnet go budziom sprzeda drogo
I pieniądzy zbiera mnogo.
Lecz na męża choć jedyny
Dla Hymena on świątyni
Nie chce podjąć się budowy.
Jako mówią, raz do głowy
Przyszła myśl mu w tym kierunku
Wziął mamonę do pakunku,
Jedzie szukać raz dziewicy
Do Krynicy, czy Szczawnicy,
Czy w Tatrzańskie piękne góry,
W tem chce licho, że spotyka
Melpomeny piękne córy,
Więc artyzmu lubownika
Serce drgnęło - Żal je bawić,
I szampana kazał stawić,
One o wycieczkach śmiły.
Śliczna aura, spacer miły
Budowniczy idzie w posły
Do górali, biorze osły,

Jadą razem w piękne góry
By podziwiać cud natury...
Po powrocie przedstawienie,
Potem sił znów pokrzepienie,
Po deptaku promenada,
Po przechadzce znów się jada...
I tak dalej, wciąż artystki
Architektę zajmowały,
Sezon mija, żółkną listki,
Aż nareszcie odjechały.
Budowniczy o tej dobie
Swe zamiary wspomniał sobie,
Patrzy – wszystkie już kobiety
Odjechały precz niestety!
Resztki zabrał więc mamony
I powrócił – lecz bez żony.

Dzieci Temidy

Pieśń I.

Dziewięć z ratusznej wieży zadzwoniono
I na odwachu w bęben uderzono,
A już Bresiewicz do fiskusa bieży,
Za nim Muczkowski także tam krok mierzy,
Potem Mendelsburg w tęż biegnie stronę,
(Żal mu, że z sobą wziąść nie może żonę)
Wiceprezydent w końcu zasapany –
I cały fiskus wreszcie jest zebrany,
Bo już naczelstwo dawno w biórze siedzi,
Spóźnień podwładnych na zegarku śledzi.
Cisza w około. Czasem myszka trwożna
Wygląda z jamy, wyjdzie nieostrożna,
Aż niespodzianie skrzypnie pióro które,
Spłoszona nagle zmyka w swoją dziurę;
Mole gromadnie z szpargałów wyłażą
I chude muchy z zasmuconą twarzą,
Nie brzęcząc w sale, wloką się powoli;
(Z strawy fiskalnej każdego brzuch boli.)
Robaczki w szafie robią sobie hecę
Gryząc patenty, dekrety, Gesetze.
Cisza w około. Piszą się numery
Ex anno jeszcze osiemdziesiąt cztery +).

+) Rzecz dzieje się w r. 1887.

Mendelsburg pisze prawną opinyą
Czy skarb ma p. Stacii pretensyę czyja [?]
Za dostawione w myśl umowy zboże,
Którego w składach skarb zmieścić nie może.
Muczkowski „krowę żelazną" fundyę,
Księdzu mszę za nią co rok nakazuje;
Bres replicando broni naruszenia,
Wiceprezydent wreszcie pisze — odroczenia.
Gotowe przed nim głowy protokołu,
Odmiany tylko wprowadza u dołu:
Tu: dni „trzydziestu" żąda odroczenia,
Tam na „dwadzieścia jeden" cyfrę zmienia
O wiele „częściej żąda dni sześćdziesiąt",
Ale najczęściej „pisze jednak dziewięćdziesiąt". x)
W pisemnym sporze, „ilość" miesięczną zwłoki
Żąda, w tem westchnął — zapadł w sen głęboki
Lecz w sen straszliwy: jakiś sędzia srogi
Skarbowi zwłoki odmówił o! bogi!
I pod rygorem wezwał kontumacyi,
By na terminie jął się likwidacyi!
Poci się Witold, niespokojnie drapie.
Do likwidacyi przez sen pióro łapie
I na sędziego zżyma się zuchwalstwo,
Gdy nagle głośno kichnęło naczelstwo.
Zbudził się Witold, pierzchły udręczenia,
Mrucząc się snu, pisze dłuższe odroczenia. *)

x) Na odroczeniu skarb nigdy nie straci
Bo sobie zwłoki procentami płaci
Nadto ma inne jeszcze przywileje —
Przez co się krzywda li prywatnym dzieje.

A z uderzeniem dziesiątej godziny
Idzie do sądu, gdzie są dziś terminy.
Muczkowski pióro porzucił w tę porę
Poszedł ku oknu, podniósł trochę storę,
Spogląda w okno naprzeciw świecące
Topiąc w niem oko miłością gorące:
Naprzeciw w oknie między firankami
Stała panienka z płowymi włosami.
Grzebieniem pruła złocistą kaskadę +)
Rzucając w lustro swe spojrzenie rade.
Nagle zadrżała; twarz oblekł rumieniec,
Ujrzała, że ją podglądał młodzieniec –
Z poza story, z przeciwka, z urzędu fiskusa;
Puściła grzebień i wstecz dała susa,
Potem wróciła, lecz już uczesana,
I siadła w oknie, niby zadumana . . .
Młodzian z za story pożerał ją okiem
Słychać stuk serca w milczeniu głębokiem . .
Witold za sobą zamknął drzwi fiskusa
I na terminy chciał puścić się kłusa –
Nagle na schodach, nim zeszedł do sieni
Spostrzegł kobietę. Pośród schodów cieni
Nie mógł rozróżnić, z kim go zetkły bogi,
Lecz dojrzał kształty objętości srogiej.
Więc namiętności straszne w nim wezbrały
Od fundamentu do szczytu drgnął cały.

Z.

Nie pomnąc na nic zastąpił jéj drogę
Mówiąc: „Czy zapytać mogę
„Gdzie Pani dąży? Do ekspozytury?
„Drogę pokażę od dołu do góry!
„Co za ciemności! Mogę podać ramię?
„Miło mi zawsze służyć pięknéj damie!"
Tak rzekł pan Witold, a dama milczała
I pulchne ramię bez trwogi podała...

Gdy tak pan Witold wśród schodów ciemności
Drogę wskazywał nieznanéj piękności,
Wsądzie już tłumy szukają Temidy,
Dwoch chłopów, baba, ksiądz jeden i żydy.
Jest wielka sala, do koła w niéj stoły
A balaskami przecięta na poły.
Ze ściany portret cesarza spogląda
Jak żydków plemię dokoła się krząta.
Pełno ich wszędzie w różnym charakterze:
Ten jako sędzia*) miejsce czestne bierze,
Ten jako strona, ten doradca prawny,
Ów jest koncypjent, ten mecenas sławny,
Wszędzie żydowskie słyszysz tylko imię
Myślisz że jesteś gdzieś — w Jerozolimie!
Czasem się zjawi przy którym z stolików
Rzadki okaz kogoś z katolików,

*) Sit venia verbo!

/.

Ale najczęściej, tak się tutaj zdarza,
Że mosiennicka twarz jest li-Cesarza.

Przed każdym sędzią *) leży na stoliku
Kupa papierów i kurzu bez liku
(A dla symetryi z otoczeniem sali
I na papierze są żydkowie mali,
Z atramentu.) Piór niedostatek wielki,
Za to inkaustu ogromne butelki
I piasku z żwirem stoją całe beczki.

Pod oknem sali, pod drzwiami Haleczki,
Wśród adwokatów przyszło już do sprzeczki:
Mecenas Brummer mocno rozżalony,
Że Rothwein stempla chce od jego strony,
Adwokat Schönberg stempel znów odbiera,
Myśląc go dostać od strony Prappera.
Gniewa się Blatteis dalej na Chajesa
A Ungerfbaum krzyczy na Deichesa,
Krzyczy Klein mały, Horowitz nie wielki,
Leje się inkaust na spodnie z butelki;
A gdy rozgowor na dobre poczęty,
Biorą się za łby ich koncypienty.
Wśród tego gwaru wybiła dziesiąta,
Zaraz woźnego wydobyto z kąta,
(A wydobycia jego taka racja,

/

Że od dziesiątej już jest kontumacja.)
Woźny się złączył z ogólnym chaosem
I: „B. S. Landau!" ryknął wielkim głosem.
Potem „H. Goldberg" został wywołany
Za nim „I. Goldstein" zkontumacjowany.

Słońce wysoko wyszło już do góry
Nie przybył dotąd nikt z ekspozytury
Lecz kontumacji dotąd nikt nie skarży,
Bo w takim razie tak się zwykle zdarzy,
Że tylko stempel skarżący zapłaci,
A Sąd odmówi skarbu kontumacji
Często też później nie mniany na oku
Zażąda fiskus zwłoki – na pół roku.
Gwar do koła: kilku katolików
Zjawia się przy tym i owym z stolików.
Tu Koy załatwia darmą kuratelę,
Tam idzie Szalay, co zbyt mówi wiele,
Teraz coś pięknej Fröhlichowej radzi,
Co eksceyndyjkę z fiskusem prowadzi.
Dobosz też piękną klientkę przywodzi
I dzielnie za jej interesem chodzi,
Matjas rozstrzyga różne sprzeczne wnioski;
A z boku stoją Rąk i Jakubowski

Pół do dwunastej! już nie sposób czekać,
Fiskus nie stanie. Więc nie trzeba zwlekać.
Kontumacyjny pisze się protokół
Ekspozyturę woźny woła wokół —
Sędzia podercznął protokół siarczyście,
Że skarb nie stanął ani osobiście
Ni się nie zjawił przez pełnomocnika —
Znak: „wobec sądu" protokół zamyka!

Pieśń II.

Czwarta wybiła z Ratusznej wieży
I znów Brzeziewicz do fiskusa bieży,
Za nim Mandelsburg i Muczkowski, (biedni!
Musieli powstać z drzemki poobiedniej!)
Lecz nikt za nimi; to rzecz niepojęta!
Nie widać dotąd wiceprezydenta!
A tam naczelstwa dawno w biórze siedzi,
Spóźnień podwładnych na zegarku śledzi!
Siedli do pracy; rozłożą papiery
I załatwiają, wicz und achtzigery,
Lecz coś nie idzie praca rozpoczęta
Bo im brak dotąd wiceprezydenta.
Wszak z uderzeniem dziesiątej godziny
Poszedł pan Witold rano na terminy,
I więcej potem nie wrócił do biórа!

?

Co raz powolej skrzypią w koło pióra,
Aż fiskaliści z godnie z serca głosem
Wszczęli dyskusyą nad kolegi losem.
Czy gdzie pojechał nagle? może chory?
Może mu posłać do domu doktory?
Muczkowski sprawą wzruszony głęboko,
W oknie naprzeciw utopił swe oko;
Brej niespokojny o los szefa swego
Czyta księgę, Dra księdza Karczewskiego
„O poskramianiu ludzkich namiętności"
Mendelsburg dalej dumał wśród cichości
I tak strapieni siedzą fiskaliści,
Wtem słychać kroki – drzwi skrzypią – aliści
Wchodzi przyczyna ich niespokojności,
Pan Witold, zdrowy, pełen ochoczości!
Dopieroż w koło wszczęło się witanie,
Gdzie Pan był? każdy rzuca mu pytanie.
On odwzajemnił uścisk powitalny
Zajął przy biórku swój stołek fiskalny,
Wszyscy dokoła stanęli ciekawi
A on im takie lotne słowa prawi:
„Odkąd mię widzi tu ekspozytura,
„Nie spotkała mnie jeszcze taka awantura;
„A chociaż w życiu miałem ich nie mało
„Słuchajcie wszyscy, co dziś mi się stało.
„Ledwom za sobą drzwi zamknął fiskusa
„I na terminy chciał puścić się kłusa,

./.

„Nagle na chodach, nim wszedłem do sieni
„Widzę kobietę! Pośród schodów cieni
„Rysów jéj twarzy rozpoznać nie mogę,
„Ale z grzeczności wskazuję jéj drogę
„Prosiła oto . . . Jak odmówić damie?
„Więc jéj rad nie rad podałem me ramię,
„Wiodę ją w górę. Gdyśmy na piętro przybyli
„Dopiero w świetle ujrzałem w téj chwili
„Kogo prowadzę? Zgadnijcie panowie?
„Próżne szukanie w waszéj nędznéj głowie!
„Oto przysługę oddałem kobiecie,
„Która fiskusa długim sporem gniecie,
„Która wyłącza swoje ruchomości
„Z pod egzekucyi za swe zaległości —
„Eleonorę Eintracht. Ją to w ciemni
„Dźwigałem w górę na mojem ramieniu!
„Ach! co kłopotu z temi Kobietami!
„Bo każda kręci, odracza i mami,
„A człowiek mając serce nie z kamienia
„Zgadza się ciągle na jéj odroczenia
„Odmówić bowiem coś żadnéj kobiecie
„Żaden mężczyzna nie potrafi w świecie!
„Więc mówię panom że choć w życiu całem
„Nie mało przecie odroczeń nabrałem,
(Słuchacze w koło głowami skinęli
I jego zdanie chętnie przytaknęli)

./.

To te kobiety pewne swojej siły
Mię w odroczeniach jednak przewyższyły;
Bo prawie nieraz pękała mi głowa
Kiedy naprzeciw stała Fröchlichowa
I prosząc ząbki pokazała śliczne...
Ach! trudno było przeczyć heroicznie
Mając tak piękną przeciwniczkę miłą...
Toż samo także z Einchachtową było!

Otóż wracając do mojej przygody
Eleonorę gdym wywiódł na schody
Znowu mię prosi prawie ze łzą w oku
Bym do trypliki dał zwłokę pół roku
Ja jej odmawiam. A ona zemdlona
Pada mi nagle bez czucia w ramiona!
Cucę ją zatem, klnąc taką przygodę
Wreszcie ożyła – próbuję ugodę:
Zezwalam już na cztery, pięć miesięcy,
A ona zwłoki koniecznie chce więcej.
Gdy ot ten miesiąc dalej targujemy
Schodzimy z piętra, na spacer idziemy,
I na ławeczce wśród miłego cienia
Traktujem dalej sprawę odroczenia...
– W tem drzwi skrzypnęły – Witold przerwał słowa
Bo weszła w biuro fiskusowa głowa,

?

Niosąc urzędowy stron, władz przypomnienia
Żale na różne zbytnie odroczenia –

Co wszystko razem kładzie się na boku
Aż przyjdzie na nie kolej – za pół roku!
(Przyczem Władymir Andrejewicz rzecze:
Że papier nie jest zając, a więc nie uciecze!)
Potem naczalstwo pyta o to, owo,
A Breś go widząc zajętym rozmową,
Po cichu, zwolna do sieni ucieka,
Gdzie pokojówka od Gralewskich czeka
Niewiem na kogo – lecz się obejrzała
Gdy krok na schodach Bresia usłyszała –
Bresiewicz kontent zkomo się dziwi
Że niespodzianie wiódł go traf szczęśliwy,
Potem Maryni jakiś liścik rzucił,
I znów do pracy, do biura powrócił,

Władymir odszedł. Witold temi słowy
Kończy opowieść losów Eintrachtowej:
„Stanąłem na tem; jak z nią pośród cienia
Traktujem dalej sprawę odroczenia.
Po dwu godzinnej nareszcie naradzie
Długiej w tej sprawie ugoda kres kładzie...
Wtem na zegar spojrzałem: dochodzi dwunasta!
Wracam co żywo przez planty do miasta,

/.

Biegnę do sadu nie tracąc ni chwili –
Już kontumacyą wszyscy zaskarżyli!
Dopiero w prośby! Stawiam wnioski cięte
Że się stawiłem in dice sedente,
Że trzy miesięcznej tylko żądam zwłoki,
W uzasadnieniu rzucę wywód głęboki: –
Ledwo w połowie sprawę naprawiłem,
Dostałem zwłokę, ale zapłaciłem,
Za stawiennictwa stron udaremnione,
Cztery guldeny – ale nie stracone,
Bom skończył proces Eintrachtowy ślicznie,
Stanowczo, prędko i merytorycznie!"

Tak rzekł pan Witold – wszyscy się cieszyli
I do swej pracy znowu powrócili
Kiedy Muczkowski schylony nad biórem
Machał ogniście po papierze piórem,
Myśl jego z dala od fiskusa świata
Do swych okien na przeciw ulata,
W fantazyi widzi przed swymi oczami
Piękną dziewczęcą z płowymi włosami,
Lecz nie spodziane przed okiem w tej chwili
Stanął mu obraz pięknej panny Emili!
Z królewską miną, wysmukłej postaci
Och! ileż w obec niej Olcinka traci!

?.

Muszkowski obie w duchu porównywa
Jak na wadze, to tu, to tam się kiwa —
Lecz wreszcie serce stanowczo się chyli
Ku stronie pięknej i wymuskłej Mili!
Westchnął: „Tak tej, jak tamtej obraz luby!
Muszę rozważyć — poradzę się Kuby!"
I gdy do głowy przyszła mu myśl taka
Natychmiast z biura urządził drapaka.

Pieśń III.

Ej gdzie ty pędzisz po gładkim asfalcie
Panie Muszkowski? jaka myśl gna wdal cię?
Czyś zoczył dziewczę niezwykłej urody,
Że pędzisz szybko z wiatrem na zawody?

Pędzi Pan Józef posuwistym krokiem,
Na przechodzących ani rzuci okiem,
A dziś niezwykle Corso ożywione —
I warto widzieć A–B przepełnione:

Idą Granzki razem z Kriegerami,
Przy nich oficer z wielkimi wąsami,
Dalej Mycielski, Skrzyński spacerują,
Rabinowiczek aż pięć maszerują.

f. Z.

Tu panna Lodgart, tam znów Barwekówna,
Dalej Librowicz, za nią zaś Bobrówna,
Obok pan Schoenberg – Chmurski, Mieroszowski,
Kubaczek, Bjason, Glikson, Sachorowski –
~~Lecz~~
Lecz zamyślony mija ich Muczkowski
Pomija widok pełen życia, ruchu,
I biegnie dalej rozważając w duchu

Wdzięki Oleńki, piękność Mili lubej –
Tak rozmyślając wszedł do biura Kluby. –

. . . .

. . . .

. . . .

. . . .

Statut

Klubu Kawalerskiego

§ 1.

Klub kawalerski ma za swe zadanie
Rozpędzać nudy w kawalerskim stanie.

§ 2.

Środków do tego klub różnych używa:
Gra, spaceruje, śpi, śpiewa lub ziewa,
Obchodzi zwykle członków imieniny
Żegna, gdy który swojéj zaręczyny.

§. 3.

Na członka Klubu ten przyjęty będzie
Kto 1/ w każdym nieposzlakowany względzie,
2/ Obywatelskich praw w pełni używa,
3/ Dwie trzecie głosów klubowców zdobywa.

§ 4.

Kończy się znów do Klubu należenie:
1/ Przez śmierć 2/ przez dobrowolne wystąpienie,
3/ Przez obiąkanie 4/ lub przez wykluczenie
5/ Toż przez zawarcie związku małżeńskiego
6/ Lub przez przyjęcie stanu duchownego.

§ 5.

Ten co przez związek małżeński ubędzie,
Może być w Klubie w członków honorowych rzędzie,
Na posiedzeniach wolno się znajdować,
Prawo do głosu ma on doradczego,
Wolno mu zawsze Klubowi fundować
Wolno zaprosić klub do domu swego.

§ 6.

Władzami Klubu: Walne Zgromadzenie,
Które sprawami nieograniczenie,

Nadaje prawa, znosi je i zmienia
Stosowność środków do celu ocenia.
Do uchwał jego zaś prawomocności,
Najmniej dwóch członków trzeba obecności.

§ 7.

Gdy zgromadzenie walne się zgromadzi,
Najpierw prezesa wybór przeprowadzi,
W miarę potrzeby jest on obierany,
Lecz każdej chwili może być zmieniany,
Jak długo jednak siedzi na urzędzie
Nad wykonaniem uchwał czuwać będzie
On zgromadzeniu zawsze przewodniczy,
Udziela głosu, dane głosy liczy,
On uchwalone wnioski publikuje
Bezpłatnie urząd do końca piastuje.

§ 8.

Osobno, gdy się potrzeba okaże
Wybrani będą ad hoc dygnitarze
I tak sekretarz do uchwał spisania
Potem marszałek w celu usztowania.

§ 9.

Kto gotów gościć klub rano, wieczorem,
Ten może zostać Klubu protektorem.

§ 10.

Na zewnątrz tylko in gremjo się działa.

./.

§ 11.

Siedzibą klubu – ziemi kula cała.

§ 12.

Gdzie lebemanów choć dwóch się znajduje,
To już tem samem klub funkcyonuje.

§ 13.

Dlatego wolno dzielić się klubowi,
Wówczas część każda znów całość stanowi,
Mawiąc prezesa, walne zgromadzenie,
Aż nie nastąpi części zjednoczenie.



Krakowiak

nadesłany Klubowi:

Póki Wisła płynie
A przy niej Rudawa
Klub nasz niechaj słynie
Cześć mu zawsze, sława!
W klubie zaznaczanie
Zasadę jedności
W niej podstawę manie
Dla miłej przyszłości.

Przyjaźń, jedność, zgoda,
Życie Wam osłodzi,
W troskach pociech doda,
W starości odmłodzi,
I krew wam rozgrzeje,
Siły wasze zwieli,
Choć wam włos zbieleje,
Nic was nie rozdzieli.
Niech więc klub wasz słynie
Niech mu sympatja sława
Póki Wisła płynie
A do niej Rudawa!



Kuplety klubowe

Do kobiet Dyrektora
Ulata chętnie duch,
I zawsze w nim chęć skora,
Kobiety wprawiać w ruch,
Więc widać tak chcą nieba,
To każdy przyzna mi,

/.

Że mu kobiety trzeba
Jak kropki ponad i.

Nasz Władek coś się kręci
Kiedy zapytasz go
Czy się co w domu święci,
Czy się spodziewa co?
Lecz mocno przyciśnięty
Odpowie tobie tak:
Kontraktu na to nie ma,
Kontraktu na to brak!

Któż na świecie więcej znaczy,
Kto używa większej czci,
Nad kamienic posiadaczy,
w Których kabzie przewadz[illegible]?
Niedaleko za plantami
Wybudował Roman gmach,
Rozporządza on skarbami,
Wspomnieć skarby te mi strach:
Bo ma pewien skarb wspaniały
Strzeże go jak pilny stróż

/.

Resztę jednak wam nie powiem,
Bo to dziś zapóźno już.

Z prezydentem sędzia zblizka,
Excellencja ceni go,
Trzymiel mu także rękę ściska,
Ma miesięcznie rynsków sto,
Na żeniaczki jest on tropie
Więc do kobiet chętnie lgnie,
W zakochaniem na urlopie
Książ przy pannie kręci się,
Wrócił stamtąd zadumany,
Kupił wielki bukiet róż —
Resztę jutro wam opowiem,
Bo to dziś zapóźno już.

Znany z Józia fiskalista,
Już adjutum nawet ma,
Zatem rzecz jest oczywista
Że ożenić mu się trza,

./.

Kiedy byt jest zapewniony,
Czemu nie mieć także żony?

W kawalerstwie który jest trwały
Póki w piersi dychnie dech,
W kosztach bywa doskonały,
Lecz we wszystkiem miewa pech,
Jeśli pech ten się nie zmieni,
Jeszcze kiedy się ożeni!

Piotrkowszcze z tego słyną,
Że wczas, dobrze, żenią się,
Ojcie córy się rodziną,
Patrząc na synowe dzieci,
Lecz się czasem na to zżymą,
Czemu jeszcze wnuka nie ma?

Starzi źródli już pojęli:
Teraz Tadzin kolej trza,
Niech rodzina się powieli,
O przyszłości myśleć trza,

Niech myśl zatem o Kundusi,
wszystko koniec znaleźć musi.

Oto siedzą grube ryby,
Żaden z nich nie żeni się,
Każda panna myśli: „gdyby
Gdyby kto z nich wybrał mnie!"
Oni na to nie zważają,
Zamiast jednej sto żon mają!

Choć dyrektor krepsko grywa,
Prezes też lubi bardzo gry
Lecz nadewszystko go porywa
Widok wdzięków pięknej płci;
Jemu każde dziewczę lube,
Lecz najmilsze: wielkie, grube!

Wieszczby Pytyi

Dla klubu.

1) Strzeż twoich królów drzewy lebemanie,
Dotąd dzban nosi, póki ucha stanie.
Jak motyl goniąc od kwiatka na kwiatek

./.

Lecz cię utrapi któryś naostatek.
Są kwiaty, które rosą pogardzają,
Lecz gdy żyjątka ich słodycze ssają,
Zamknie się kielich i na jego łonie
Najniespodziewanej słodyczy wchodnik tonie.
Strzeż się tych kwiatów! strojne są w kolory,
Lecz najzłudniejsze są często pozory!
Niby niewinne, niby nieszkodliwe,
Ponętne, wonne lecz zawsze – zdradliwe,
Bacz więc najpilniej na niewinne lice
Najgorsze zaś z nich zwą się – służebnice.

---

2) Polikratesa weź na pamięć losy,
Że szczęścia bez trosk nie dają niebiosy,
Masz wprawdzie pięknie dom wymurowany,
Lecz bacz, by dom twój – był asekurowany.

---

3) Idź za przykładem wieśniaka prostego
Ułóż koło na szczyt domu twego
A może bocian przyleci do niego!

---

4)

Zakopańska epopeja.

Pieśń I.

Kędy z Krakowa do Tatr Droga wiedzie,
Góralska bryka po wybojach jedzie,
W niéj trzech młodzieńców i fornal na przedzie.
Jeden z młodzieńców, blondyn jasnooki
Z zadartym wąsem, sztywny i wysoki,
Ma żółtą bródkę w boki rozczesaną,
A Dyrektorem go tytułowano,
Na chrzcie zaś imię Tadeusz mu Dano.
Bratem pierwszego był pasażer Drugi,
Zwał się Stanisław, był cienki i Długi,
Miał on ochotę być kiedyś lekarzem
Stąd był przez grzeczność zwan „konsyliarzem",
Trzeci pasażer, z jasnemi bakami,
Widać krótkowidz, bo uzbrojon szkłami.
Dyrektor rzekł Doń właśnie: — „Mój Klemensie!
„Niech licho weźmie, jak ta bryka trzęsie!
„Jeszcze Daleko, a już wytrwać trudno,
„A przytem w deszczu jechać wcale nudno.

Na to Konsyljarz te słowa powiada:
– „Jeżeli ci nudno, to jest na to rada,
„Zabrałem karty ze sobą z Krakowa,
„Dobyć je z kufra, i pulka gotowa!
„W prawdzie nie bardzo wygodnie w tej budzie,
„Lecz się rozerwiem, położym kres nudzie.

– „Dawaj je z kufra, Dyrektor odpowie –
„Przecież raz w życiu miałeś rozum w głowie,
„Pled się rozłoży. Na nim grać będziemy,
„A co kto wygra to mu zapiszemy,
„Zbieraj Clemenceau. Trzymać mocno karty,
„Bo wicher dmucha teraz nie na żarty.

Ledwo wygłosił tę mądrą przestrogę,
Wiatr porwał kartę i rzucił na drogę.
Więc rozpacz w bryce. Staś z bryki wyskoczył,
I bystrem okiem kartę w rowie zoczył.
Trochę się biedny as treflowy zmoczył;
Lecz wysuszony i z wody otarty
Ukrył się znowu między bratnie karty.
I służył wiernie swemu przeznaczeniu,
Aż gra ustała przy wieczornym cieniu.

Jeszcze gościnca kawałek nie duży

A stanął wreszcie u celu podróży.
Deszcz teraz ustał. Widać gór ogromny
Jak swe wierzchołki wznoszą ponad domy
Rozsiane w koło, w cieniach gdzieś niknące,
Na łąk zieloność i wody szumiące.

Dyrektor wtedy każe fornalowi
Aby zajechał przed Zakład Chramcowy
„Tam Józia pewnie zastaniem o tej porze,
„On nam mieszkanie wyszukać pomoże,
„A jeśli list nasz już mu doręczyli,
„Pewnie kwatera najęta w tej chwili."

Serdeczne było przyjaciół spotkanie
Jedno za drugiem goniło pytanie:
„Jak się masz Józiu? Co słychać w Krakowie,
„A w Zakopanem? a jak Twoje zdrowie?"
I długo trwały wzajemne pytania
Aż przyszła na stół kwestya mieszkania.
A Józio rzecze: – „Wszystko obmyślane,
„Mieszkanie dla was już przygotowane:
„Tam na Krupówkach nad brzegiem Kałuży
„Stoi drewniany dom piętrowy duży,
„W nim przyjaciele nasi zamieszkali,
„Dla was kwaterę już przygotowali.

Tam są Penaty sędzi, profesora;
Tam i Piorkiewicz mieści się od wczora,
A gdyście przyjazd wasz zapowiedzieli,
Zaraz mieszkanie i dla was najęli.
Tam też dla Kazia miejsce obmyślono
Bo lada chwila zjedzie tutaj pono.
„Piorkiewicz o nim cuda opowiadał
„Jak Kazio bale w Szczawnicy układał
„Robił wycieczki, zbierał komitety
„Zapraszał panów zabawiał kobiety
„Kręcił się żwawo jak mucha w ukropie
„Zmienił się słowem na letnim urlopie."

– „Już o tem wieści mieliśmy w Krakowie"
W tem miejscu Klemens Józiowi odpowie,
„Tomicki często opowiadał o tem
„Kiedy z Szczawnicy zawitał z powrotem.
„Dobrze że w jednym domu się umieścimy
„Zatem się lepiej wszyscy zabawimy
„Lecz powiedz Józiu także coś o sobie
„Jak ty się bawisz, jak się wiedzie tobie?

– „Wszystko wybornie tylko wikt niegodny
„Ciągle mię kąpią, często jestem głodny,
„Nie stąd ażeby jeść dawali mało
„Lecz że wciąż jedno przez kuracyą całą.

„Co dzień ~~tatarka~~ dosłownie biesiada
„Co dzień makaron i codzień sztufada!
„Z tą miłą myślą do łóżka się kładę
„Że jutro znowu dostanę sztufadę,
„A gdy mię rano pędzą w zimną wodę,
„Wiem że sztufadę dostanę w nagrodę,
„To mi zatruwa mój umysł swobodny,
„Lecz, że się lepiéj wciąż na zdrowiu czuję,
„Zatem Chramcowi sztufadę daruję."

— Cieszy nas bardzo, że ci służy zdrowie,
Dyrektor na to przerywając powie
„Lecz czy dochodzi tutaj tańcowanie?
„Chodzisz na bale? Są tu ładne panie?
„Panny? mężatki? a niechby i wdowy?
„Musisz tańcować, kiedy jesteś zdrowy?

— „Czy są kobiety? nie! tu są - boginie!
„Tutaj najtwardsze serce w krótce zginie
„Same piękności tutaj się zjechały
„Z Warszawy, Lwowa, z Polski całéj;
„Jest w czem wybierać, ale o to mniejsza,
„Jedna jest tylko dla mnie najpiękniejsza.

— „Któraż to? która? mówże Józiu prędzie

?

„ Warto przypatrzeć się takiej kobiecie!
Tak się Dyrektor z zapałem odzywa
Lecz te pytania głos Dzwonka przerywa.
A Józio rzecze: Dzwonek zapowiada
„Że na kolacyę gotowa sztufada.
„Muszę każdemu powiedzieć: bądź zdrowy,
Bo tu w zakładzie jest rygor surowy.
Gdy Dzwon zapowie, że ósma godzina,
Już punktualnie jeść każdy zaczyna
A kto się spoźni ten nic nie dostanie. –
Więc jedźcie zdrowi, gdzie was czeka spanie.
A po kolacyi, przez tajemną drogę,
Jeźli się uda, dam z zakładu nogę
I przyjdę do was. Pomówimy więcej ...
A teraz wszystkich ściskam najgoręcej.
Jedź na Krupówki – dodał do furmana –
Domu pani Górskiej, widać go z dala
Do zobaczenia!"

Tak Józio powiada

I znika w sieni mówiąc wduchu: „biada!
„ Znowu makaron i znowu sztufada!"

Ruszyła bryka, a Dyrektor powie:
„Ta „najpiękniejsza" siedzi mi wciąż w głowie."

Co to za jedna, skąd tutaj przybyła,
Co za wrażenie na Józia zrobiła?
Hej fornal! Czemu w tem miejscu stajecie?
Jeszcze daleko, czy drogi nie wiecie?"
– „Czekajcie ino – tu skręcić nie mogę,
„Bo mi karoca zastąpiła drogę;
„Wyładowana, że niech Pan Bóg broni,
„Powinni do niej zaprządz czwórkę koni."

Patrzy Dyrektor: powóz obłocony
Wyładowany kuframi w wsze strony;
Widać kuferki i torby podróżne,
Pudła, walizki i tłumoki różne.
Uwięznął powóz na drogi zakręcie,
Fornal grzmi batem konięta zaciecie –
Lecz nie możliwe z bryką wyminięcie.
Stanęła bryka, patrzą się pasażerowie
A Klemens na to tak do reszty powie:

„Widać się panna po męża wybrała,
„Skoro karocę tak wyładowała!
„Jeszcze jej teraz pudło jakie z leci,
„I drogę pudrem lub różem zaśmieci,
„Lub szczęka sztuczna z ukrycia wypadnie,
„Skompromituje panienkę nieładnie.

7.

Widać w karecy Domiki słyszano
Bo nagle gniewnie z tejże zawołano:

„Schowaj pan sobie uwagi do djabła,
„Aby na pana skąd laska nie spadła!"

Tutaj z powozu młodzieniec wyskoczył
Wysoki z bródką — gdy go Klemens zoczył,
„Kazio!" zawołał, i w tej samej chwili
„Wszyscy podróżni z bryki wyskoczyli,
„Nuż Kazia ściskać, całować i witać,
Powóz oglądać, o pakunki pytać.
Bo Kazio wielce przez wszystkich lubiany,
Że dla przyjaciół jest zawsze oddany,
Miły w obejściu i bardzo wesoły
Wszędzie zyskuje sobie przyjacioły.
Coś w nim z artysty, a coś z marzyciela,
W malarstwie zwłaszcza ma talentu wiela;
Często przyjaciół wprawdzie krytykuje,
I ich projektom zwykle oponuje,
Lecz nie jest nigdy w krytyce złośliwy
Często dyskusyą swem zdaniem ożywi.)

Więcby gadali na drodze do nocy,
Gdy ojciec Kazia wyglądnął z karocy,

Więc przywitano i pana rejenta
Poczem ruszyły w swą drogę konięta,
A wciąż z karocy do bryki gadano,
A gdy głos ginął w turkocie, migano,
Aż przed kwaterę swoją zajechano.

Chociaż Dyrektor do rządzenia skory,
Pierwszy raz w życiu nie rządzi tej pory,
Nie dysponuje ni w dom nie zaziera,
Gdzie ma być jego lub brata kwatera —
Zajął go przedmiot o wiele ważniejszy,
Bo radzi z Kaziem co do „najpiękniejszej"
Różne domysły podnosi, projekta,
Aż zwoczył nagle z dala — architekta:

— „Muszę go dognać, on cóż może powié,
„On ma smak dobry i człowiek światowy,
„Zna każdą pannę, każdą co ładniejszą,
„Musi znać zatem także „najpiękniejszą";
„Więc go zaproszę tu na pogadankę,
„I na herbatę albo grogu szklankę."



Pieśń II.

Stał na Krupówkach nad brzegiem kałuży
Z drzewa robiony dom piętrowy, duży;
Cienkie ma ściany, pajęcze powały
Z każdem kichnięciem drży do szczytu cały,
Schody na piętro, właściwie drabina,
Skrzypią niegodnie, podłoga się zgina
Pod każdym krokiem domu lokatora
A lokatorów w domu paczka spora:
Wszyscy z Krakowa, wzajemnie się znają,
Dom cały jak za wspólny uważają;
Na dole Kazio swoje ruchomości
Ledwo pomieścił mimo obszerności
Izby (trzy przywiózł ze sobą tłumoki
Naładowane aż po same boki,
Siedm kuferków, dwie torby podróżne
4 walizki, zawiniątka różne;
Chłopak we wszystko jest zaopatrzony,
Brakuje mu tylko jeszcze chyba - żony.)
Dyrektor przy nim, ma tu bawić krótko,
Więc zabrał z sobą przyborów malutko,

Przy Kaziu w jednej izbie zamieszkuje,
Na prawo Rejent z nimi sąsiaduje,
Nad Kaziem w piętrze profesor się mieści,
(Ma z sobą koniak przewybornej treści,)
Kiedy po zimie przyjdzie letnia pora
Nastaje przerwa w pracach profesora
Idą w niepamięć Pasteura wyniki
Wziął mikroskopy i większe króliki.
A nad Rejentem sędziego kwatera
Pełno przeróżnych przyborów zawiera:
Setki mankietów, krawatek, kołnierzy,
Frak, angler, surdut i lornetka leży,
Tuż z biletami stół wizytowymi
(I Ekscellencyi był między innymi)
Kwiat jakiś zwiędły, kapelusz cztery,
Buty, szlafmyca i flaszka madery,
Doń się Tadeusz Piorkiewicz sprowadził
I liczne kufry, zawiniątka wsadził,
Parę butelczyn przywiózł z brata taśki,
Wziął też do wąsów pomady pół faski.
Trzeci zaś pokój, obok profesora,
Daje przytułek brata Dyrektora
Pusta u niego pokoju połowa
Bo przywiózł z sobą tyś karty z Krakowa,
Więc się z nim Klemens tam mieści wygodnie
Torby, rysunki, rozkłada swobodnie.

J.

Właśnie był wieczór, w pokoju na dole,
Siedzieli wszyscy mieszkańcy przy stole,
Na którym stoi grogu waza wrząca,
Zionąca parą i nosy łechcąca.
Dzieło to Kazia. On zbadał tajniki
Jakie gróg dobry winien mieć składniki,
Ile w nim winno być wody, koniaku,
A ile wina, cytryny, araku.
Teraz chemika godność na bok składa,
Nalewszy szklanki przy reszcie usiada.

Nie bardzo dzisiaj wiedzie się rozmowa,
Bo część dopiero przybyła z Krakowa,
Trudy podróży i rozpakowania,
Budzą chęć do snu, a nie do gadania,
Ale z kurami nie chodzą spać młodzi,
Przytem się przyjazd oblać godnie godzi,
A reszta ta mci, co dawniej przybyli,
O spaniu jeszcze ani nawet śnili.
Sędzia z zapałem o rewizonach prawi,
Jak się z pannami przedwyborniе bawi.
Jak między góry szedł niebotycznemi
(I Ekscellencya był między innemi)
Lecz i profesor nie pozostał w tyle,
I różne damy przypomina mile.
Z tą był w Kuźnicach, z tamtą znów w Strążyskach

Z owemi w Jaszczurówce, Kościeliskach,
Gdzie się zabawny wypadek wydarzył,
Że ich porządnie deszcz z gradem wyprażył,
Damy, mężczyźni, wszyscy zmokli w hali;
Ów tudzież Józio kataru dostali.

— Dobrze że Józia profesor wspomina,
Może tu przyjdzie – choć późna godzina –
Przy powitaniu rzekł nam słówek parę
Które nam myśli narzuwają chmarę!
Powiedział do nas, że tu są boginie
Że tu najtwardsze nawet serce ginie
A przytem dodał, co rzecz najważniejsza
Że dlań jest tylko jedna najpiękniejsza.
Takie pochwały, takie wyrażenia
Dają każdemu wiele do myślenia

– Wtem coś być musi … panie profesorze,
Pan tu jest dłużej, pan coś wiedzieć może?
– „Moi panowie, nie wiem nic pewnego
„Jak że pan Józef od czasu dłuższego
„Panną Jadwigą na spacerach bawi,
„Mile ją widzi, komplementa prawi,
„Bardzo jej wdzięki i przymioty chwali;
Oto jest wszystko i nic nie wiem dalej.

Architekt słuchał tej rozmowy pilnie
I rzekł: – „Ja panom powiem niedomylnie
Jak się rzecz miała z samego początku:
Była zabawa, na sali zakątku
Rozmawiał Józio z prezydentowemi
Wiem dobrze – stałem bowiem tuż za niemi.
Jedna z nich rzecze: Panowie szukacie
Pięknych panienek – otóż piękną macie
Patrz pan – to także panienka ze Lwowa!
Józio raz spojrzał nie rzekł ani słowa,
Spojrzał i spostrzegł, że dziewczę urody
Jest dziwnie pięknej, a że Józio młody
A ona piękna, więc też nic dziwnego,
Że zaraz chwycił płomienia jasnego
Jak chwyta słoma przy ogniu złożona.
Już walc się zaczął już polka szalona
Wreszcie nadeszła ta szczęśliwa chwila
Kiedy muzyka zagrała kadryla.
Józio nasz ramię swe podał panience,
Która mu lekko wsparła się na ręce.
Nie mogę wiedzieć, co z sobą mówili,
To tylko pewna że w niedługiej chwili
W drugim kadrylu vis-a-vis tańczyli,
Czy los to zdarzył nadzwyczaj szczęśliwy,
Czyli przyjaciel tak zdziałał życzliwy,

Czyli kto inny – różnie mówią o tem,
Lecz nikt nie wiedział ni przedtem ni potem.
Po balu Józio pannę odprowadził
I do karocy zamkniętej posadził,
A sam pozostał mocno zadumany,
Dalszy historyi tej ciąg będzie znany."..
Spowiedź ta cała
Wśród zebranych radość wywołała,
Jedynie Kazia przecie to smuciło:
– „Czy nie mówiłem, że nie trzeba było
„Puszczać sam Józia, brak mu doświadczenia!"
Kazio jest zimny na pozór spojrzenia
I w opozycyi zawsze się znachodzi
Zbyt wiele mówi, lecz nigdy nie szkodzi
Stąd też na jego protest nie zważano
Lecz architekta wokoło pytano:
„Czy jest brunetka, szatynka, blondynka,
„Jakie ma oczy, czy wesoła minka?"
– „Słowa dla pochwał dla niej są za ciasne
Będziecie widzieć na swe oczy własne."
– „A gdzież ją widzieć, chcielibyśmy wiedzieć"?
„I to wam mogę pewnie opowiedzieć:
„Jutro wybiera się na szerszy Nozabi,
„W sobotę pewnie zaś będzie na balu."

Dyrektor dotąd siedział prawie niemy,
Tu krzyknął: – Jutro na Nosal idziemy!
(Bo chęć w nim zanosze do zwiedzenia ikra,
I stąd też miano dostał: Dyrektora)

Powstała zaraz wrzawa, zamieszanie,
Jeden architekt przystał na to zdanie
Inni namówić się łatwo nie dali
Ale projekta różne przedstawiali,
Na próżno Kazio przedstawiał trudności
Próżno przywodził na myśl wątpliwości,
„Może nie pójdą, albo nie w tym czasie”
Dyrektor niczem odstraszyć nie da się,
Kazio nie mogąc dalej sponować
Z afektów jego zaczynał żartować
A im Dyrektor bronił się goręcej
Tem sobie z niego żartowano więcej.
Nadarmo brał go architekt w obronę
Wszyscy Kaziową chcieli trzymać stronę,
Na upartego owszem powiedzieli,
Że rano razem idą do kąpieli
Do Jaszczurówki tego wszyscy chcieli.
Jeden Piórkiewicz gestem ani słowy
Wcale nie mieszał się do tej rozmowy

/.

I jako człowiek grzeczny doświadczony,
Nie poparł jednej ani drugiej strony
Myśląc: niech się tam posprzeczają sami
Najlepiej palca nie mieć między drzwiami.
Klemens klauzulę wyraźną dodaje
Że przed dziewiątą z posłania nie wstaje,
Że się na żadną ani ruszy wyprawę
Jeżeli pierwej nie wypije kawę.
Lecz grog ukoił umysły wzburzone
I wszyscy inną zwrócili się stronę,
Gdzie sędzia siedział pokiwając głową
Rzadko do rozmów wtrącając swe słowo.
„Patrzcie – rzekł Kazio – sędzia tylko słucha
Może to jego ciężka rusza skrucha!
Czasby też było przecież i sędziemu,
Poszukać żony, bo i wiek po temu,
I sama nawet urzędu powaga
Koniecznie pani sędziny wymaga.
Tu głośne w koło powstały wiwaty,
Że Klemens w rymy jest zawsze bogaty,
Więc uczcił wierszem przyszłe zaręczyny
Pana sędziego i pani sędziny

Pieśń III.

Długo już pięknie słońce przyświecało
A na Krupówkach wszystko jeszcze spało.
W tem drzwi skrzypnęły zwolna do pokoju
Wchodzi Architekt w lekkim jasnym stroju
W tej myśli aby zabrać Dyrektora
Na Nosal, woła: „już spóźniona pora
A tu panowie marnicie czas drogi!"
Zerwał Dyrektor się na równe nogi
Wstała i reszta, dom się ruszył cały,
Trzęsą się cienkie od butów powały
Słychać hałasy stukot i wołania
Tylko się Klemens nie ruszał z posłania
Mrucząc pod nosem z miną zadąsaną,
Że jeszcze nigdy nie wstawał tak rano.

Dyrektor przywdział ubiór granatowy
Lekki nowiutki, krawat jasny nowy,
I z laską w ręku chciał wyruszyć w pole
Lecz Kazio krzyknął: „Weźcie parasole,"
Że na wycieczce nigdy nie zawadzą."
Słuszność uwagi tej" obaj uznali
Z brojni w parasol, w tę stronę, gdzie zdała
Widział szczyt jasny krzywego Nosala.

/.

Godzinę blisko szli pod górę sami
Zajęci tylko własnymi myślami,
Wreszcie stanęli u celu na szczycie
Widok był piękny, tak, że sam sowicie
Już wynagradzał trudy poniesione
Lecz oni w inną poglądali stronę
Gdzie gęstwa lasu drogę zasłaniała:
Tam „najpiękniejsza" ukazać się miała.
Czekali chwilę, po której w milczeniu
Usiedli obok siebie na kamieniu
Długo myślami gonili po niebie
Potem kilkakroć spojrzeli na siebie
Iznów czekali, tak blisko godzinę
Wzrok utopiwszy w lesistą gęstwinę.
Czasem się jeden albo drugi zżyma
Że „najpiękniejszej" jak nie, tak nie ma!
Tymczasem góry wszystkie wierzchołkami
Zaczęły zwolna pokrywać się mgłami.
Lecz czekający nie spostrzegli tego
Patrząc w las ciągle od czasu dłuższego.
Zaszął deszcz kropić po nie długiej chwili
A oni ciągle jeszcze w las patrzyli
Czasem się jeden albo drugi zżyma
Że „najpiękniejszej" jak nie ma, tak nie ma.
Dopiero gromów huki przeraźliwe
Przerwały wreszcie te czaty cierpliwe.

/.

„Wracajmy – woła Dyrektor – zawczasu
„Przed deszczem skryjem się w gęstwinie lasu!”
I nie czekając już więcej na panie
Pędzili z góry na karku złamanie,
Kryjąc swe głowy pod parasolami.
A deszcz tymczasem całemi strugami
Lał jak z cebra. Gromy, błyskawice
Żda się świat cały przewróci na nice!
Chylą się drzewa wysokie ku ziemi
A dwaj podróżni biegną po pod niemi.
Wreszcie po całogodzinnej kąpieli
W karczmie w Kuźnicach szczęśliwie stanęli.
Choć na nich suchej nitki nie zostało
Kontenci byli, że wrócili cało.

Wreszcie dopadli skądś wózka krytego
Który ich zawiózł do Zakopanego.
Siedział Dyrektor w domu zasępiony
Susząc przy piecu surdut przemoczony,
Wstyd go, że darmo poszedł na Nosala
A pań nie widział ni z bliska ni z dala.
Gdy nagle Klemens drzwiami izby trzaśnie
„Jesteś!” powiada, „szukamy cię właśnie!
„Chodź zaraz ze mną teraz do kasyna,
„Bo próba chóru pewnie się zaczyna,
„A najpiękniejsza jest pomiędzy niemi!”

/.

Tak rzekł Clemenceau. Dyrektor zapina
Surdut zmoczony – idą do kasyna,
Z nim towarzysze piękności ciekawi,
A pośród drogi tak im Klemens prawi:
„Gdyście wczas wstawszy poszli sobie rano,
„Na Nozal ujrzeć piękność wam nieznaną,
„(A gdyście tylko z deszczu zmoknęli),
„Gdy znowu drudzy poszli do kąpieli,
„Ja, człek praktyczny, dobrze się wyspałem,
„A potem kawę spokojnie spijałem,
„Patrząc z werandy, jak ponad górami
„Niebo zaciągło się z wolna chmurami,
„A każda chmura jak z prysznica lała,
(To wam wycieczka pięknie się udała.)
„Teraz z obiadu właśnie powracałem
„Gdy w drodze Józia szczęściem napotkałem,
„Mówi, że panie zaspały troszeczkę
„Przeczo nie poszły szczęściem na wycieczkę;
„Że amatorski koncert urządzają
„I teraz w dworcu próbę odbyć mają."

Tak mówił Klemens, i właśnie w tej chwili
Wszyscy przed dworzec Tatrzański przybyli.
Tu stał już Józio, do przybyłych powie:
„Trochę za późno przybyli panowie!
„Próba w tej chwili właśnie się zaczyna,
./.

I panie skryte są w sali kasyna."
– „A niechże licho!.!! Dyrektor powiada,
„Tak się nam wszystko nieszczęśliwie składa!
„Znowu zapóźno! A ciekawość pali,
„Byśmy raz przecie tę piękność poznali!
„Będę tu czekać, choćby i dzień cały,
„Aż panie z próby będą powracały!"

Kazio przeciwny jest temu wnioskowi,
I radzi spacer zrobić ku laskowi
Klemens im radzi aby iść na kawę,
Gdy Józio nagle przerwał tę rozprawę:
„Oto mąż jednej z piękności nadchodzi,
„Poznam go z wami, poznać go się godzi."

Tedy pan Karol przedstawiony w koło,
Człek jeszcze młody, minę ma wesołą;
Na powrót żony z próby oczekuje
Tymczasem kręgli partję proponuje.
Wszyscy się godzą, idą więc do grania.
(Kazio był w prawdzie przeciwnego zdania,
Ale się poddał wnioskowi większości)
Dyrektor krzyczy, każe rzucać kości,
(W nim zawsze chętka do rządzenia skora,
Stąd nosi miano swoje: Dyrektora).

Chłopak tymczasem kręgle już ustawia,
W kręgielni szuter i dziury poprawia.

Kiedy panowie do kręgli się brali,
Wszystkie już panie zebrały się w sali.
Gallje ustawia, tu alty na prawo,
Stuknął batutą w pulpit z całej siły
A panie piosnkę chórem zanuciły.

W tem Gall batutą począł stukać gniewnie:
„Soprany!" woła – wpadają niepewnie!
„Alty w tem miejscu mają ritardando,
„A proszę ciągle zachować parlando!
„Niech panna Zofia nie chichota w mitę
„Lecz patrzy taktu i mojej batuty!"

Tak Gall powiada, stuka z całej siły,
I panie znowu chórem zanuciły,
Póki mistrz znowu nie stuknął batutą:
– „Panno Jadwigo! tutaj sostenuto!
„A pani Marya o fis zapomniała,
„I każdym razem, zamiast fis, ef brała!
„Proszę też czytać, co w górze pisano,
„Że gdzie jest forte, tam nie ma być piano!"
Tak Gall powiada, stuknął z całej siły,
I znowu panie chórem zanuciły.

A tam w Kręgielni Dyrektor w głos krzyczy,
Daje rozkazy, zbite kręgle liczy,
A tylko w tedy przestaje gadania
Kiedy na niego przyjdzie kolej grania:
Wówczas poważny ma wyraz na twarzy
I długo w ręku kulą kiwa, waży
Aż ją wyrzuci z okropnym zamachem,
Chłopak od kręgli cofa się ze strachem,
A kula wariery, kręci się jak żmija,
Wpada do dziury – i nic nie ubija.
Za to konsyliarz, ten gra jeszcze dzielniej,
Za kulą leci aż do pół kręgielni.
(Bo każdy sobie metodę gracz stwarza
I swą za lepszą od innych uważa,
Lecz doświadczony każdy to spostrzega,
Że nie na sile rzut dobry polega).
Józio, choć kulą najmniejszą uderzy
Wielkie zniszczenie pośród kręgli szerzy
Grając metodą rzutu łukowego
Piórkiewicz znów grał inaczej od niego
Wymierza prosto i trafia pierwszego;
Pan Karol rzuca z wielką dokładnością
Gdziekolwiek mierzy, tam trafi z pewnością,
I pojedyncze zbiera doskonale
Tylko pan Kazimierz, który grał niedbale
Rzuca kulami jakby od niechcenia –

Nie ma zupełnie do gry namaszczenia.

Tak pośród żartów, przycinków, hałasów
Uchodził miło czas dzielnych zapasów,
Aż Klemens czuje coś jakby zmęczenie,
Zna swą naturę: to kawy pragnienie!
Patrzy na zegar: już siódma godzina!
Popłoch wśród graczy. Biegną do Kasyna,
Dyrektor pierwszy przez płot, błoto wali,
A pań już nie ma ani jednej w sali!
Zaczem pan Karol woła zrozpaczony:
„Toż wezmę burę dopiero od żony!"
Dyrektor biedny był w istnej rozpaczy
Że „najpiękniejszej" dzisiaj nie zobaczy!
A na to Józio z powagą powiada:
-„Kiedy już poszły na to trudna rada!
„Jutro jest reunion, będą na nim panie,
„To wam w pamięci niechaj pozostanie,
„Gdy jutro słońce za Giewontem zgaśnie,
„Staniecie na reunion zbrojnie i zapaśnie!"

Tak mówił Józio: Do lasku ruszyli.
Słońce powoli za góry się chyli,
Coraz to dłuższe cienie zalegają
Góry dziwacznych kształtów nabierają.

Szczerbate ciemne, wysokie i strome,
Jakby żołnierzy hufce nieruchome,
Wedle legendy, to wojska Chrobrego
Śpiące czekają obudzenia swego:
– Obyście teraz chrobre hufce wstały
I znów Prusaków za Salę wygnały!...

Pieśń IV.

Reunion.

Już błysły w sali promienie świecznika
Już instrumenta swe stroi muzyka,
Komitet w koło kręci się po sali,
A Dyrektora chęć do tańca pali,
I „najpiękniejszą” ujrzeć raz ciekawy,
Choć raz przetańczyć z królową zabawy
Lecz panie zawsze dobrze się spóźniają;
Widząc to wszyscy cierpliwie czekają,
Przybył i Kazio na balową salę
Jako widz tylko, bo nie tańczy wcale.
Widząc że na czas nie przychodzą panie,
„Chodźmy stąd, mówi, nie czekajmy na nie!

„Niech się nauczą raz punktualności,
„I nie drwią sobie z męskiej cierpliwości,
„Widzą, że bal się o ósmej zaczyna,
„Teraz już blisko dziewiąta godzina!

Tak mówił Kario, lecz go nie słuchali
Dalej cierpliwie na panie czekali.
Czasem z werandy ktoś przychodzi z wieścią,
Że przybył wózek z obsadą niewieścią,
Widać: postacie otulone bieżą,
Lecz czy do pięknej one płci należą?
Trudno osądzić, bo każda okryta,
Chustką na głowie, szalami spowita,
Czasem blask oka, albo nóżka drobna,
Zdradza okrytą, że to płeć nadobna,
Lecz w garderobie przybyła się kryje,
Gdzie jej już oko nie dojrzy niczyje.
Tak coraz więcej przybywa płci ładnej,
Ale na sali dotąd nie ma żadnej.
Komitet sądząc, że już o tej dobie
Musi pań dosyć być tam w garderobie,
Każe muzyce walca zagrać w sali;
Więc muzykanci na rozkaz zagrali.
Grzmią basy, bęben, piszczą flety, smyczki,
Młodzież naciąga szybko rękawiczki,
Dyrektor przybrał uroczystą minę,

Z-

Przed lustrem wiecej poprawił tużurę
Pan sędzia także poprawia fryzurę,
Pórkiełwier ciągnie wąs oburącz w górę,
Wszyscy kołnierze w górę pociągali,
A pani jak nie ma, tak nie ma na sali!
W tem wpada Józio „Idą! Idą"! woła!
I z przyjaciółmi wita się do koła.
„Do garderoby weszły teraz panie,
„I w krótkiej chwili, każda z nich tu stanie,
„Właśnie drzwi skrzypią... serce mi wyskoczy...
„Patrzcie-to ona!.. to obraz uroczy!..."

Tak jąkał Józio. Wśród dźwięku muzyki
Wchodzą nadobne pań i panien szyki;
Jak kiedy żniwiarz zamachem swej kosy
Schyli ku ziemi dumne zboża kłosy,
Tak w koło głowy panów się schyliły
Gdy piękne panie na salę wchodziły.

O! czyjeż pióro, czyj rym byłby w stanie
Spisać wszystkie piękne panny, panie!
Ich wdzięczne kształty, nadobne figury,
Oczy gorące, gustowne fryzury!
Nawet u żadnego nie znajdą poety
By spisać cały wdzięk ich toalety,

/.

Ani mi znane pań strojów tajniki
By podać wszystkie brosze i kulczyki,
Kolje błyszczące, szpilki wyrabiane,
Gorsy kwiatami i haftem ubrane.
Umiem ocenić piękne oczy, usta
Okrągłe rączki i zgrabniutkie biusta,
Ale opisać, wiem że nie dam rady,
Najlepszy opis byłby jeszcze blady,
Więc powiem krótko: arcypiękne były
A wszystkie lekko i zgrabnie tańczyły.

Jako Sabinki porwali Rzymianie,
Tak młodzież chwyta zaraz w tańce panie.
Próżno Dyrektor w koło okiem toczy,
By „najpiękniejszą" dostać znów przed oczy,
Ona już z Józiem do koła walcuje
I jak meteor z blaskiem przelatuje,
Zabłyśnie chwilę, znowu w tłumie ginie,
Znowu zabłyska i znów w wirze płynie.

Zatem Dyrektor poznanie piękności
Zdaje późniejszej lepszej sposobności
Tymczasem idzie zaś do panny Zosi
I ją do tańca wśród ukłonu prosi.
Fiókiewicz dalej mknie z Dyrektorową,

Sędzia walcuje już z prezydentową,
Profesor panią Karolową kręci,
Kolegów w sali tańczy bez pamięci,
Przy boku pięknej zapomniał wyników
Badań Pasteura i wściekłych królików.
Architekt także w tańcu nie próżnuje
Jedną za drugą chwyta i walcuje.

Kazio się patrzy. Wszystko krytykuje,
Do bufetu w końcu maszeruje,
Bo do kolacji stosowna już pora,
Siada do stołu z bratem dyrektora,
(Ten też nie tańczy; przyglądał się z boku,
Jak rejent zagrał ultimo w taroku.)

A tam na sali wciąż tańczą z hałasem,
Nawet Clemenceau robi turę czasem.
Dyrektor poznał „najpiękniejszą" w końcu,
Wdzięk jej przyrównał błyszczącemu słońcu,
Chwali jej piękną Mikando – fryzurę
I chce o drugą właśnie prosić turę,
Korzysta z chwili przez tłum się przeciska,
Już nie daleko już jest dojść z bliska
Gdy nagle przed nim jakieś zamieszanie,
Stoją tańczący, schylają się panie,

L.

Panowie gną się aż do samej ziemi,
Snać za przeczami patrzą zgubionemi,
Więc i Dyrektor do ziemi się zgina,
Za zgubą szukać z innymi zaczyna,
Znajduje parę paciorków zgubionych,
(Przerwał się cały sznur złożony z onych),
Powstaje z ziemi, aby oddać zgubę,
I jakiś ujrzał zjawisko on lube!
Stała tuż obok nadobna Dziewica,
Sześć stóp wysoka, rumianego lica,
Należnej tuszy, potężnej budowy,
Prawdziwy obraz panny tęgiej, zdrowej;
Z uśmiechem zbiera paciorki zgubione,
Dziękuje panom w tę i ową stronę,
Do Dyrektora też się uśmiechnęła,
Gdy z jego ręki koraliki wzięła,
A w jego sercu jakby młot uderzył,
Zadrżał ... koralik jeden – sprzeniewierzył:
Co Dyrektora nie bardziej nie wzrusza,
Z wdzięków niewieścich jak figura tusza!
Wzruszony wszystkich znajomych się pyta,
„Kto? skąd jest owa „szalona kobieta”?”
Naprożno jednak wypytuje bada,
Aż wreszcie Klemens tyle mu powiada:
– „Pytałem o nią, dzisiaj tu przybyła,
„Ma z sobą kufrów i pakunków siła,

„Z nią trzech młodzieńców, jedna stara dama,
„Babka czy ciotka, albo może mama,
„Podobno w góry wybiera się rano —
„Tak mi przynajmniej tu opowiadano —
„Jeżeli jutro idzie na wyprawę
„Pewnie dziś wcześnie opuści zabawę."

— „Skąd tu przybyła? z Warszawy ze Lwowa?
„Czy jeszcze panna, mężatka, lub wdowa?
„Czy z trzech młodzieńców który narzeczony?"
Dyrektor pyta się rozciekawiony
„Przypomnij sobie kto ci o niej gadał,
„Abym go nalazł i lepiej wybadał."
„— Nie wiem, ciekawy, zacny dyrektorze,
„Bo cóż to wszystko obchodzić mię może?"
— „Ależ nazwisko najważniejsze w świecie!
„Od kogóż o niej dowiem się coś przecie!"

W tym oto nieznany przedmiot ciekawości
Ku garderobie ciśnie się przez gości,
Wychodzi z sali, w garderobie znika,
Z nowu wychodzi lecz już w płaszcz okryta
Do bryki razem z towarzyszką siada —
Dyrektor pobladł — gościć niewypada.
Był zamyślony przez resztę wieczorku
I myślał tylko o owym paciorku.

/.

Co go starannie schował w kamizelce,
I o paciorka pięknej właścicielce...

Minęła polka, skończono kadryla
I przed mazurem była pauzy chwila
(Trwała zaledwie minut kilkanaście
Lecz wniósł Dyrektor toastów dwanaście),
Przyczem swe siły wszyscy posilali.
Lecz brakło Józia. On ciągle na sali,
Pannie Jadwidze komplementa prawi
Wachlarz jej nosi, i rozmową bawi....

A w tem mazura zagrali żydkowie,
Schodzą się zwolna z bufetu panowie,
Lecz nie dość jeszcze amatorów tańców,
Dancerki biorą wciąż tych samych panów.
Więc Klemens pragnąc ożywić mazura,
Nagle po cichu daje z sali nura,
Na skórze szóstkę bębeniście wkłada
I sam do bębna wśród grajków zasiada.
I zagrał. A chuch jakby wichru dechem
Leci po sali, podwaja się echem;
W chuku tym tańca historya krótka:
Z początku odzew rzeźki: to pobudka!
A potem jeden grzmot za drugim bieży
To ruszające w pląs tłumy młodzieży.

Tu przestał bębnić. Wszystkim się zdawało,
Że on gra jeszcze, a to echo grało.

Znów zagrał. Myślisz, że bęben głos zmieniał;
Ta odgłos jego to grubiał, to cieniał,
W nim się dosłuchasz komendy hałasów,
Dopatrzysz figór i grzmotu obcasów.

Tu przerwał znowu, wszystkim się zdawało
Że on grzmi jeszcze, a to echo grzmiało!

Gra znowu. Ciche, słabe tony drgają;
Znać że do tańca panie wybierają;
Lecz coraz bębna potężnieją grzmoty,
Czujesz że w tańcu więcej jest ochoty,
Aż bęben ryknął jak armaty strzały,
Widać hołubce w mazurze zabrzmiały,
I brzmiała sala od rogu do rogu,
Aż zniknął głos bębna gdzieś na niebios progu.

Tu Klemens przestał mistrzowskiego grania,
Przyjmuje liczne gry powinszowania
(Ktoś przeciwne wyraził mu zdanie,
Że gra na bębnie, jest to - pauprowanie!)
Potem zaś wszyscy przy bufecie pili,

Rymem i prozą toasty wznosili,
Zwątlone w tańcu siły pokrzepiali,
Lecz brakło Józia. On ciągle na sali
Pannie Jadwidze komplementa prawi
Nosi jej wachlarz i rozmową bawi . . .

(Pieśń V i VI pisał J. Brzeziewicz, oraz niektóre ustępy <–> w pieśni I do IV.)

Epilog.

Chociaż się powieść w połowie przerywa,
Spytajcie tylko, Mowa gadatliwa
I resztę powie.
Józio zaręczony
Żyje samotny, smutny opuszczony
(Rzecz naturalna, takiego, co nosi
Pierścień rodzinny, nigdzie się nie prosi).
Więc też do Lwowa tęskni bezustannie
Co dziennie listy posyła swej pannie,
A odpowiedzi pilnie czyta, składa,
W tym celu w domu Archiwum osobne
Zawiera listy pachnące, ozdobne . . .

Profesor badań spisuje wyniki

?

Wzorem Pasteura pokąsiciekła króliki.

Kazio, choć nawet był z Jozicem we Lwowie
Jest wrogiem niewiast i w czynie i w słowie,
Do zabaw chęci najmniejszej nie czuje,
Na balach zamiast tańczyć krytykuje
Lecz że z natury jest usposobienia
Zbyt łagodnego, zatem bez wytchnienia,
Pomaga drugim do ich ożenienia
Skąd się wziął takim? Różnie mówią o tem
Lecz nikt nie wiedział ni wówczas ni potem.

Piórkiewicz za to jest do zabaw skory
Odwiedza rauty, bale i wieczory,
A zwłaszcza w całym zeszłym karnawale
Tańcząc po nocach nie zasypiał wcale,
W dzień też spać nie mógł, bo biegał jak z procy
I wizytował od rana do nocy.
Tak go te ciągłe wycieńczyły pląsy,
Że dziś z pod czapki widać mu ti wąsy.

Dyrektor dotąd nic nie awansował,
Tyle wiadomo, że koralik chował,
Ale zapomniał znów o koraliku,
Gdy znalazł kwiatek na jakimś pikniku,

/.

I właścicielki tegoż piękne lice
Sprawiło, że gdzieś jeździł w okolice
Nawet, jak mówi, gust swój dawny zmienił.

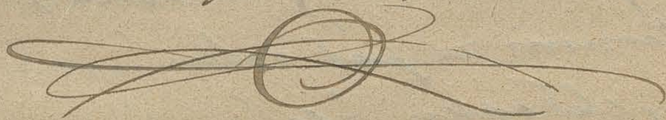
Sędzia się dotąd jeszcze nie ożenił
Chociaż jak mówią, ~~ma~~ ochotę wielką
Przywdziać na siebie raz kajdany złote,
Zamiar się jednak z Amorem upora
Chce zdać egzamin wpierw na audytora,
W ten sposób żona nie będzie się bała,
Aby w „Landszturmie" męża postradała.

Klemens jak każdy domyśli się prawie,
Czterykroć na dzień używa na kawie,
I do dziewiątej sypia, albo dłużej,
Sen ten wyborne na zdrowie mu służy,
Ćwiczy swe siły w „Sokole" wieczorem,
Albo na spacer chodzi z dyrektorem,
Bawi się także często w rymowanie,
Stąd się go wielce obawiają panie,
By je nie skreślił w sposób nieprawdziwy,
Choć Klemens nie jest i nie był złośliwy.

Architekt wreszcie wciąż modnie ubrany,
Od pań krakowskich powszechnie lubiany,
Bo im grzeczności słodkich tysiąc prawi
Na balach, rautach, koncertach je bawi,
./.

Jednak zawodu też nie zaniedbuje
I kamienicę już czwartą buduje,
Lecz ma w mieszkaniu puste cztery ściany,
Więc mu brak czegoś... Chodzi zadumany..

Znośmy wesoło, póki który młody
Kawalerskiego stanu niewygody
Bo kto na seryo rzecz całą rozważa
Ten ma krok jeden tylko do ołtarza,
I kto wie czyli za Zonia przykładem
Reszta nie pójdzie kiedyś jego śladem!



Na swojską nutę

Kuba z zimna drżał,
W sieni sądu stał,
Przyszedł tutaj w mróz z daleka,
Bo procesu końca czeka,
Co już pięć lat trwał.



A Wawrzyniec tuż
Śmiał się, choć marzł już,
Nim mu Kuba grunt odbierze,
On porośnie z gruntu w pierze,
Grunt ma lat pięć już.

Termin odbył się...
Kuba myśli: źle!
Już ni proces kołkiem w boku,
Nowy termin za pół roku!
Biedny chłopku, źle!

Obok szynczek stał,
Chłop żal zapić chciał,
Spił się, robił awantury,
Żandarm zabrał go do dziury —
Wawrzyniec się śmiał.



Prowizoryum

Orze chłopek, orze,
Kraje pług zagony,
Będzie rosło zboże,
Lecz kto zbierze plony?

Nasz chłopek od miedzy,
Praojców zwyczajem,
Skraweczek sąsiada,
Zaorze choć krajem,
Sąsiad go zapozwie,
Komisyja zjedzie,
I plan narysuje
Kędy miedza wiedzie.
Płacą chłopki stemple
Po sądach się włóczą,
Piją zaś po sądzie,
Próżnować się uczą,
Stąd znów kłótnie w domu,
W karczmie i na roli

./.

Od sprzeczki zaś dojdzie
Do bitki powoli.

A tymczasem zboże
Okryło zagony
Baby koszą w polu,
Że swoich mężów, plony,
Bo ich chłopi oba
Z za miedzy sąsiedzi,
Każdy za te kłótnie
Teraz w kozie siedzi.

Weksel

O wekslu, wekslu! piękny prawa tworze
Gdzież się bez ciebie dzisiaj obejść może?
Dawniej „kupcowie na siebie ciągnęli"
I w wekslu „papier li handlowy" mieli,
Dziś każdy żyd, bank, twój formy się czepi,
Bo mu się lichwa w tobie kryje lepiej.
Wziąć pieniądz łatwo, podpisać nie sztuka —
Tylko się często przyjaciela szuka
Który da „żyro" li dla „formalności"
Ale gdy przyjdzie dzień „weksla płatności
Dłużnik bez grosza. Przyjaciel zaś święty
Teraz płaci weksel, protest i procenty
Lecz doświadczenie to zyskuje sobie,
Że weksel, przyjaźń — djabła warte obie!

96.

Na prowincyi.

Gdym ostatniego guldena postradał,
I gdy mię chytra zdradziła niewiasta,
Chodziłem smutny. Przyjaciel mi gadał:
„Mój drogi! Zmykaj do małego miasta
Tu adwokatów więcej niż potrzeba
Gryzą się z sobą o kawałek chleba;

Jedź gdzie na powiat, gdzieś w góry, daleko,
Kędy drugiego nie ma adwokata,
Tam się procesy dłużej jeszcze wleką,
To dla kieszeni kopalnia bogata;
Tam na twym palcu pierścień złoty błyśnie,
I na tasiemce zegarek zawiśnie;

Chłopy przyniosą guldeny, szóstaki,
Masło, ser, mleko, indyka, kurczęta,
Czasami zrobisz dworski kontrakt jaki
I tak majątek zbierzesz cent do centa;
Pisarz pękatny, choć czasem się wkręci
Mniej ci zaszkodzi niż tu konkurenci.

Uwierzyłem głupi... miasto porzuciłem
I na mieścinę powiodłem odludną:
Znalazłem rzeczy, o których mi śniłem!
Dziurę błotnistą, kajzarską i nudną,
Ledwo kilkoro ludzi do pożycia,
Reszta do plotek jedzenia i picia.

Sędzia, notarjusz, adjunkt i aptekarz
Towarzyszami są mi jedynymi,
I w dzień pracując ~~ty~~ służba na to czekasz
By wieczór zagrać w karty znowu z nimi,
Do kobiet trudno przemówić choć słowa,
Bo cię spotkają: swaty lub obmowa!

Mamony takiej nie zbiorę tu wcale;
Pisarz pokątny ma tu zaufanie,
Ciągną do niego całe ludzkie fale,
Notarjuszowi coś się też dostanie
Dopiero resztka jest dla adwokata,
A klientela wcale nie bogata.

O ileż lepiej wśród wielkiego miasta
Żyć choćby tylko o chlebie i wodzie!
Tam duch przynajmniej nad poziom wyrasta
Tu myśl usycha przy duchowym głodzie,
I we trwale tonie przy ciągłej tęsknocie
Nim zwolna zamrze w powszechnej ciasnocie.

Testament

Pan Mikołaj chory był,
To się ludziom zdarza,
Gdy opadał pomału z sił
Zawołał pisarza.
Cisza w domu. Krewni dwa
Wznoszą niby lament,
Każdy z niepewności drga,
Gdy pisze testament:
„Czy zapisze spadek nam?
„~~Dwie~~ wszystko, albo wiele?
„Może wszystko wezmę sam?..
„Czy z drugim podzielę?"
Wkrótce pogrzeb odbył się
Krewniacy płakali,
Zamówili potem mszę
I krepę przywdziali.

J.

W tem testament otwarł sąd.
Każdy krewniak miota
Swą żałobną krepę w kąt
Krzycząc: „Idyota!
„Na publiczny cel grosz dał!
„Zaparł się krwi własnej!
„Jam naprożno łzy me lał,
„Niech go piorun jasny!....



Bajki.

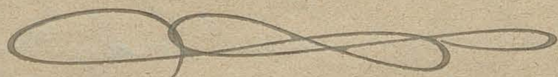
I

Pytał się Rak Szaflary, na co szkoła zda się?
Na to Szaflara milczał w ambarasie,
Aż wreszcie odrzekł po namyśle chwili:
„Aby od ciebie inni mądrzejszymi byli!"



II

Miłe z tego początki, lecz końce żałosny,
Pił Rak wódeczkę już od życia wiosny
Choć mu odradzał Piotr, Paweł i Klemens
Aż wreszcie dostał delirium tremens.



Do prof. Olszewskiego

(r. 1888.)

Po dwa kroć uroczysty dzień dzisiejszy święcimy
Bo dwie rocznice razem dziś łączymy,
Więc najprzód jedną: ćwierć wieku wspomnienia
Kiedyś do boju szedł nieustraszenie
Drugą, coroczną rocznicę imienia
Kiedy składamy dla Ciebie życzenia.
Zanadto rymy niezdolne moje
Abym się porwał uczcić Twoje boje
To Jakubowski gładkiem rymem powie,
Jakoś na kartę stawiał życie, zdrowie,
Jakoś rycerskim zapałem wiedziony

/.

dziś

Poszedł nie trwożny w rzemiosło Bellony
Jak nad bystrego Prądnika falami
Nocą podstępny wróg wziął Cię w niewolę
Przecie przeszkodził iść za powstańcami
Iść na zwycięstwa, albo śmierci pole!
Jeśli zwycięstwo czekało na Ciebie
Wezwał bym gromy wszystkich Bogów w niebie
Aby strzaskały tych nowych siepaczy,
Co cię przedwcześnie okuli w kajdany,
Lecz jeśli, miast zwycięstwa, wróg miał raczej
Napaść swą zemstą w Twojej krwie pienianej
Duszę posłać w Elizejskie kraje —
O! to podstępnych siepaczy nie taję,
Wolę, żeś w kozie spał na pryczy twardej,
Niż by Cię zabić miał najeźdźnik hardy!
Niech Jakubowicz uczci tę rocznicę
Cny profesorze krakowskiej wszechnicy,
Ja zaś pamiątkę Twojego imienia,
Streszczając krótko wszystkich tu życzenia:
Żyj nam w najdłuższe Matuzala lata
Dni niech szczęście towarzyszą fata;
Niech w Twoim mieszku pieniądz się rozpina,
A przed mównicą młodź rojno się zbiera;
Szlachetne zdrowie Niech zawsze sprzyja,
U boku żonka piękna jak lilija
Jak Penelopa niech ci stałą będzie,
A grono dziatek niechaj cię obsiądzie,

./.

Gdy zatopiony w alchemickiej sztuce
Ku pożytkowi a świata nauce
Wydrzesz naturze skryte tajemnice,
Powierzone gazy w kunsztownej szklenice
W wodę zamienisz przez zmyślne arcana,
W wędzidło pojmiesz samego Wulkana,
Skąd sława Twoja w odległe klimata
Pójdzie, by przetrwać i w najdłuższe lata!
Gdzie dziś jest Troja? Gdzie mocne Mycenę?
Gdzie jest Kartago, gdzie sławne Ateny?
Gdzie się gwałtowna moc Rzymsk podziała?
One zginęły – lecz sława została!
Tak twoje imię niech zawżdy ostanie,
Niechaj się skrypta powołują na nie,
Niech obok Franki i chciwe Teutony
Błyśnie imieniem znów polski uczony.
W tem dla Cię szczęsną fortunę widzimy
Tegóż więc z serca szczerego życzymy,
Jeźli zaś jeszcze masz w swej duszy nadnie
Inne życzenia – niech się spełnią snadnie!

r. 1887.

Awans.

Karadjunktowi w sądzie wmówiono,
Że do awansu go proponowano,
Postawion w ternie, i to w pierwszym
(rzędzie
Więc sekretarzem niezawodnie
(będzie.
Na to rzekł z boku doświad-
(czeńszy drugi:
„Lepsza protekcja, niż twoje
(zasługi!...”
Co mówił drugi, była prawda
(święta,
Bo awansować — kwestyja
(prezydenta.



Syreny

Lecą Syreny, lecą
Bo czarny zapadł cień,
Syreny okiem świecą,
Bo noc to dla nich dzień.

Drogę zaległo błoto
Odwagi kruszące stal
Pod niebios czarną grotę
Syreny lecą w dal.

A Furman cichy stoi
Pośród syrenich dróg,
Nadziei wieńce stroi
Tam, gdzie ubrzęg róg.

Zielona myśl w nim płonie
Czerwoną rodzi chuć,

./.

W syrenach okiem tonie —
Młodości luba wróć!
Lecz syreny lecą,
Bo czarny zapadł cień,
Syreny okiem świecą,
Bo noc to dla nich dzień.

4, 1897



Do
Józefa Muczkowskiego
15/7 1899.

Długo przez ziemie, przyjaciół czekany,
Przybywasz wreszcie radcą mianowany,
Przybywasz spojrzeć na rodziny łonie
I ścisnąć znowu twych przyjaciół dłonie
I znalazłeś miłą dla serca pociechę:
Wrócić na służbę pod rodzinną strzechę,
I złożyć plony swego doświadczenia
Wrócić z wygnania, do swych z oddalenia!
Witaj więc u nas z dalekiego wschodu [1]

---

[1] z Lwowa.

W tej na progach Krakowskiego grodu
I opowiadaj ku naszej nauce
Jak to Lwów kwitnie w defraudacji sztuce,
Jak matadory w karcie Orzyskości
Pełni powagi i popularności
Ojczyste pieniądze dźwignęli do góry
A skarbiec kradli i szli do dziury,
Podniecili także dworskie dziennikarstwo
W radzie krzewili znalazłszy lekarstwo
A budek tworzyli na ratusz pospiesza
Tam na stanowiskach jak zwykle przy wieczora
Umiał odróżnić od pozoru cnotę
Głosem ufności obdarza hołotę.

Ty nam opowiesz jak notable zacnie
Nie w kryminale siedzą tam wygodnie,
A naród ~~lwowski~~ we wzniosłej mądrości
Umie połączać bydlęcej uczoności
I prezydentem robi li zabrzego
Który przynajmniej dotknął się brudnego,
Radnymi miasta tamtejszego ludu
~~Nie~~ Ludzie nie obcy skandalu i brudu,
Dalej opowiesz jak lwowskie mieszczuchy
W podtym „Kurjerze" krzepią swoje duchy
Codzień w Krakowie znajdują skandale

/.

Drwią, że Kwiatkowski nie jest w kryminale
A czem Kwiatkowski jest wobec olbrzyma
Takim jest Szczepan, Wolski, Szydło, Żuna!
Takich złodziei – tu w Krakowie nie ma.

Więc wracaj z gwardią głupiej lichej kliki
A otrząś dobrze z pyłu twe trzewiki
Pluń przed ratuszem, tym ich Kapitolem,
A suknie swoje wymaczaj karbolem!

1899

Figury z szopki

1.

Witam panie i panowie,
Wszakżem wszystkich znam
Z demokracyi w Krakowie
Sam dziś prezesem pan.
Byłem zawsze sercem całem
Wielbicielem dam,
O płci pięknej dobro dbałem
Wdówek, córek, mam...

108.

Dziś zmieniłem ideały
Gdy posiwiał włos
A z Moniuszka mi się wybrały —
Mam poszelki głos!
Nie zapomnę tam w Rajcharacie
Bronić pięknej płci
Na to stawo moje macie
Innych sił brak mi....

Dobrzyński

Jour-fixe

Zimą wieczory wloką się zbyt,
Temu zawdzięcza jour fixe swój byt
Schodzi się grono panów i dam
W ten sposób nikt się nie nudzi sam.
Tu neutralny grunt można mieć
Gdzie się przybliża przeciwna płeć
A nawet czasem możnaby tu
Dyskretne małe dać rendez-vous...

-/.

Herbaty bez liku
Na każdym stoliku
I cukru też jest dość,
Herbata za chwilę
Powtórzy się mile,
Niech pije więc gość!

Jour fixe czasami jakoś się rwie,
Ten i ów w kącie coś nudzi się,
A w tem plotkę ktoś puści w bieg
Więc i weselszy jest zaraz wiek.
Przędło bajeczka obiegły w krąg
Znajdzie w domysłach swój dalszy ciąg –
Każdy się żegna i śpieszy nieść
Na inny jour fixe tę nową wieść.

Herbaty bez liku
Na każdym stoliku,
Pozwoli jeszcze kto?
Herbaty nie braknie
Dopóki kto łaknie,
Niech pije więc gość!



Kuplety dla szewca w Trójce hultajskiej

śpiewane na przedstawieniu 20/2 1902.

Wnet nadchodzi czas wyborów
I ja stanę też w zawody,
Trzeba wódki amatorów,
A nie samych znawców wody,
Dać mi tylko radcy władzę
Wódkociągi zaprowadzę.

Dajcie mi głos przy wyborze
Nie potrzeba będzie szynku,
Spijemy się w każdej porze
Przy hydrancie w środku rynku
Tak zakwitnie nowa era
Niech więc każdy mnie wybiera.

Na system cenzury teatralnej podnoszono już i w parlamencie zażalenia i nie ulega wątpliwości, że dotychczasowa cenzura jest zupełnie niewłaściwą, przepuszcza grube i niemoralne rzeczy, a kreśli drobiazgi lub aluzje polityczne, choćby najdalsze. Między kupletami szewca z „Trójki hultajskiej“ skreśliła cenzura krakowska także następujący:

„Jest gdzieś naród taki w świecie,
Co się „boi tylko Boga“.
Kształci w szkole kijem dziecie,
By wychować sobie wroga,
Lecz niech naród ten się boi:
Raz mu Pan Bóg skórę skroi!“

Otóż pytamy, jakie względy skłoniły cenzora do skreślenia tak niewinnego kupletu?

111.

Z ruchu wyborczego.

Z ruchu wyborczego. Ledwo dziewiąta wybiła z ratusza, wyborców rzesza na magistrat rusza: idą stańczyki, idą liberały i koncentranci, z nimi socjały. Słońce niepewnie z poza chmur przyświeca, pomaga nieco blask od półksiężyca mężów policji, kroczących odważnie, zresztą dość cicho, spokojnie i poważnie.

Lecz w magistracie żwawo życie bije: wcześnie zasiadły w salach komisje. Broni ich silna z drzewa barykada, za nią zaś urny, gdzie się głosy wkłada.

Na głównej sali — napisałbyś tomy, ile tam różni namłócili słomy, — Lustgarten pilnie „niezawisły" włada, pełnomocnictwa mikroskopem bada i we wyborczy zagląda protokół i rzuca okiem niezawisłem w okół.

A w innej sali Rotter przewodniczy i w duszy głosy stańczykowskie liczy; tam znowu siedzi strapiony Kasparek, czy wyjdzie z urny Urbanowicz, Marek? Na schodach biegły we wyborczej sztuce biega pan Seinfeld w nowiutkiej peruce, rozstawia wszędzie niezawisłe straże (same semickie autentyczne twarze.)

Wodzowie dzisiaj na nogach od rana, bo cała armja jest zmobilizowana, ciągną do boju różne komitety, mając w rezerwie odważne kobiety: bo wielką rolę gra zawsze spodnica, każdy wyborca lubi gładkie lica i bez różnicy na zapatrywania każdy mężczyzna do kobiet się skłania, te jednak mają gusta rozmaite, więc wyborczynie w obozy rozbite, ta za Rotterem, ta za Leem trzyma, Marka popiera zaś pani Turzyma.

Gross na Kazimierzu komendą kieruje, przy nim Gunkiewicz dziś szczęścia próbuje, jako chorąży z chorągwią czerwoną biega, zwołując rzeszę rozproszoną.

Obywatelsko — znowu urzędniczy komitet także zwolenników liczy: poczta, telegraf, kolej w pełnym ruchu. Dobija dotąd nie upadł na duchu, ogłasza wiersze bez rytmu i rymu, słowem: wre bitwa bez huku i dymu, a kandydatów niezliczona ~~masa~~ rzesza, jak może tak się w handelkach pociesza.

Dnia 22 maja 1902. godz. 10 rano.

Doniesienie do Cl. Prelewatoryi Paristka

Wieść nie do wiary - wieść straszną się szerzy
Ku przerażeniu krakowskiej młodzieży
W rozpaczy Henoch,Madejski Bąkowski
Bo Callierki -odmroziły noski !
Paganio blady jak pejzaż zimowy
J inni wszyscy potracili głowy!
Snują się twarze po Garbarskiej blade
J robią pannom fensterpromenadę :
Paganio dźwiga garniec wazeliny,
Słoiki z maścią ,pudło veloutyny,
Rzeźbiarz zaś niesie pakuneczek płaski,
W nim dla panienek kilometr opaski,
A Muczkowskiemu tak ta wieść dokucza
~~J patrzy~~ Że biegnie zajrzeć przez dziurkę od klucza
PatrZy -kolana zadrżały z boleści :
Anielcia w wacie piękny nosek pieści,
A Stefcia swój znów męczy wazeliną
J patrzy w lustro z nie wesołą miną,
Mama zaś znosi przeróżne im leki,
Co tylko mogą dostarczyć apteki,
Papa przemierza pokój wielkim krokiem ,
Lejąc morały - wymowy potokiem
/ A w generalskim Rogier pióropuszu
Bije w swój bęben dziś bez animuszu /

A winę tego któż inny ponosi,
Jak nie Łepkowski co w mróz gości prosi ,
Zwabia magnesem znanej gościnności
Do literackiej dziś klasycznej włości
Gdzie się gromadzą najnowsze poety,
Co piszą chłopkom ody i sonety

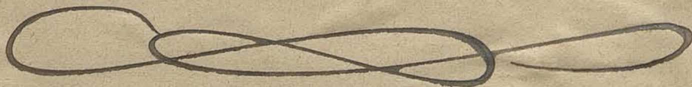
J gdzie malarze z chłopskiej skrzyni wzorów
Szukają nowych dla swej sztuki tworów !
Tym to urokiem zwabione dziewice
Na fix jechały i zmroziły lice,
A więc mi przyzna każdy pan amator,
Że tu wystąpić winien prokurator
Jmć Radca Czyszczan z aktem oskarżenia
O lekkomyślne dziewic uszkodzenia
Bo można czasem coś dziewicy zrobić :
Zęba nowego - starego ozdobić
Lecz noska pięknego nie zrobi dentysta
Ni żaden rzeźbiarz czy inny artysta,
A wiec Czyszczanie niech cię wzruszy serce
J pomścij srodze nosek Callierce !
Pomyśl-no tylko byłożby ci miło,
Gdyby to panią Tadziową trafiło ? !
Widzę twą bladość twoje przerażenie
Na Łepkowskiego
wnoś więc oskarżenie !

P. S. 25/1 1903.

Szczęściem obawy że się nie sprawdziły
Noski piękniejsze, niżli pierwej były,
Sprawiedliwości zadosyć się stanie
Gdy wniesiesz skargę o usiłowanie!

K B.

26/1 1903



113a

W odpowiedzi na
oskarżenie:

Powód nie wiedział choć jest
oskarżony
Że nos panienki został odmrożony
Dopiero teraz gdy akt oskarżenia
Czyn karygodny Powoda wymienia,
Powód obronę pisemnie tu wnosi
O uwolnienie Was pokornie prosi.
Szczygodny radca panien adorator
Chce, by tę sprawę objął prokurator
Chce, by gospodarz oddał za nos, głowę,
Chce, aby stanął, przed kratki sądowe.
Idzie z obronie zmarzłego panieńskiego
nosa
Na usłyszeć replikę, z ust pana Klemensa
Skarżyć będzie Karitwnisz radca
prokurator

113 b.

Panicu, wielki wielbiciel, wyjątek
amator
Sędzia też będzie radca, który jest
amatorem
Bo Mnerkowski nie pomści sprawy
takiej kantu
Patrzał dziurkę od klucza, badał
panicu akta
Trudna będzie rozprawa, wolę zawrzeć
pakta
Ponieważ przy rozprawie potrzebni
świadkowie
Więc się taki pomysł urodził w mej
głowie:
Srebniarz niech mi nos dorobi, gdzie
który brakuje
Pagini niech pałyncę (?) onadnie (?)
przemaluje

Wiech nada mu koloru, aby był prawdziwy
Stanoch niech kontroluje z Vogel-perspektywy
Smerkowski niechaj zbada, czy się nos nie trzęsie
A Ty pokończ roboty mój drogi Klemensie
Potem, by wosk uschnął wsadź głowę do pieca
Pozycya taka pewny, pewno się podwinca
Struck niechaj wyczyszcza węgielków nie żałuj
Panna ma górkę z pięcu a Ty ją pocałuj

Dr Łepkowski

113 d

№4

TAKŻE WYZWOLENIE.

116

TAKŻE

WYZWOLENIE

KTO JEST AUTOREM? NIESIE WIEŚĆ
ŻE IMIĘ JEGO SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ.

KRAKÓW,
WYTŁOCZONO JAKO MANUSKRYPT
1903.

DRUKARNIA „CZASU" W KRAKOWIE.

W tym dramacie
takie

OSOBY

macie:

Konrad
Reżyszer
Lucyna
Prezydent
Rajca I, II i t. d.
Maska I, II i t. d.
Głos I, II i t. d.
Lud — obywatele — chór — aktorzy.

Miał być pies pierwszy, pies drugi,
ale dramat byłby za długi.

WYZWOLENIE.

AKT I.

Konrad: Strójcie mi, strójcie narodową scenę
niechajże ujrzę, jak dusza wam płonie;
niechaj zobaczę dziś bogactwo całe
a ogień rzucę ten, co pali w łonie
i waszą zwołam sławę!
Teatr, świątynia sztuki, o duszo przybywaj!
Hej! tu stawcie krzesła i stoliki,
Wyżej katedra biała prezydenta
Dalej portrety Dytla, Szlachtowskiego
Umocnijcie je silnie — ha — to Zybel stary!
Tutaj część sali — papier w obfitości —
Stroić! prędzej stroić, dom stawiam piękności!
(Ledwo powiedział to, a już się stało
już dekoracyę znoszą całą,
aktorzy rzeszą się gromadzą,
kostyumy na się nadziewają,
te w których potem rajców grają).
Reżyser: Gaz zapalić! auery! niechaj będzie jasno.
Konrad: Tu mi ciasno —
(schodzi na scenę zwolna
gromada rajców swawolna,
rzędami przy stolikach siada
i do sąsiada każdy coś gada —

daje się słyszeć dzwonka głos,
prezydent uciera chustką nos,
dzwon zastępuje tam-tam narzędzie
które w każdym teatrze będzie,
jest tam-tam rzeczą właśnie taką
że zawsze się w nią tłucze jednako).

Reżyszer: Role rozdane — kto zaczyna?
Na miejsca — wznosi się kurtyna!
(To rzekł i klasnął tu 3 razy,
rampa się nagle rozświetliła,
podnosi się zasłona z gazy,
a gdy się sala radziecka odkryła
i gdy się uporano z gazą,
Lucyna tak rozpoczyna z emfazą:)

Lucyna: Niebianką zstąpiłam do tych bram
i sztukę, której tajnie znam
przed wami głoszę!
Oto moi męże wybrani,
Porządnie przyodziani!
Pieśń moja wybieży przedemną
na wasze spotkanie
O! pieśni! co się z tobą stanie?
(Tu rozpoczyna szereg mów
polones grany dźwiękiem słów).

Rajca I: Ja wniosek nagły mam!
i krótko rzecz przedłożę wam.

Prezydent: A więc pan radca ma nagły głos!
(uciera nos).

Rajca I: Teatr jest lichy od a do zet,
Dyrekcyą trzeba napędzić het!

Rajca II: Aktorów lepszych pozbyła się —
a na fix dotąd nie prosi mnie!

Rajca III: Aktorki wprawdzie są gładkich lic,
lecz zagrać dobrze nie umią nic.

Rajca IV: Narzeka ciągle na straty swe,
ale gustownie wciąż stroi się.
Rajca V: Ansambl tak słaby, że szkoda słów,
na to nie trzeba tu długich mów!
Rajca VI: A repertoar! zmiłuj się Bóg!
my chcemy nowych dla sztuki dróg.
Chór: Lichy jest teatr od a do zet,
dyrekcyą trzeba napędzić het!
Rajca I: Więc wobec tego wnioskuję ja,
że dla Lucyny subwencji trza!
Chór: Lucynie subwencyi trza!
(Prezydent tam-tam narzędzie
tu ręką swoją brać będzie,
po tam-tam lekko przemknie dłonią,
dzwięki na rajców dokoła dzwonią,
podnoszą rajcy ręce na znak
by dać subwencją — tak!)

AKT II.

(skoro akt inny, więc racya,
by była tu inna dekoracya).

(W tym akcie maski znaczyć mają
takich, co myśl swoją ukrywają.
Z Konrada zgadnąć chcący lic,
czy wie co, czyli nie wie nic.
Badają, Konrad się nie zwierza,
kryje swą moc i męczarnie.
Choć przeto maska z nim co gada,
on jeden sceną duszy włada).
Konrad: Stańczyki, to wy! Wy, co liżecie obcych
wrogów podłoże, drżyjcie!

(I w czeluść ciemną maski żenie
że przepadają (w noc je grąży),
Gdy sądzi, że sam jest na scenie
już jedna koło niego krąży:)

Maska I: Więc czujesz jakoweś parcie w sobie?
Konrad: ?
Maska I: I pożądanie?
Konrad: !
Maska I: Więc czujesz parcie i pożądanie prezydentury?
Konrad: Swobodę mam i wolne ręce.
Maska I: Czy i od niezawisłych?
Konrad: Prowadzi mię żądza sprawiedliwości!
Maska I: Łudzisz się — ambicya, niezawisli!
Konrad: Fałsz i przesada.
Maska I: To nie przesada, ale to nie przeszkadza abyś mówił; kokietujesz z socyalistami!
Konrad: Ty jesteś arystokratą!
(Precz znikła, nowa już się skrada,
już za nim tropi, śledzi, bada).
Maska II: Wiem, że w tobie nienawiść jest.
Konrad: Jestem z niej dumny. Obejmuję coraz szersze kręgi rzeczy. Co ci do tego, kto zapalił słońce, kto wybudował wodociągi, kto puścił w ruch antikahalników?
Maska II: Ale nie widzisz kresu sobie, jak i twój początek jest tajemnicą.
Konrad: ? ?
Maska II: ;
Konrad: Jedyną drogą do rozwoju jest powszechne gadanie. Skrępowali korrupcyą wyborców. Ciasne kurye tworzą gąszcz oczeretów i gęsty szuwar na stawiskach, kędy kandydat nie może się przedrzeć.
Maska II: Tam? na prezydenta fotel?

Konrad: Człowiek tak górnie myślący jest grzybem społeczeństwa.

(zaledwie ta pod scenę wpada,
a nowa już ku niemu gada:)

Maska III: Gdziekolwiek pójdziesz, pójdą przeciw tobie.

Konrad: Ale nikt nie siądzie tam, bo obecnego prezydenta utrzymamy.

Maska III: ! ! !

Konrad: I nie będzie wielkiego święta, nie będzie nowego prezydenta!

Maska III: Tymczasem pomrzecie?

Konrad: Wyzwoleni!

(Ledwo zanikła gdzieś za ścianą,
już nowa z miną jest udaną).

Maska IV: Więc ma zostać NIEDOŁĘSTWO?

Konrad: W tem sęk.

Maska IV: A w sęku dziura.

Konrad: Pokłóci ich jeszcze Kasy dyrektura.

Maska IV: Wszelkie myślenie jest nad nami.

Konrad: W sprawach tej miary wszelki brak i rozwój myśli jest pierwszorzędnej wagi.

Maska IV: Masz słuszność, albo nie masz jej wcale.

Konrad: . —

(znika, a nowa już powstanie,
by nowe zadać mu pytanie).

Maska V: Więc sprawy miejskie mają zostać zabagnione? uchwały rady niewykonane? brak inicyatywy?

Konrad: Nie ma myśli tak niejasnej, którejby człowiek myślący jasno nie przenikał.

Maska V: Więc skrzydła zwinięte?

Konrad: ?

Maska V: Nos na kwintę?

Konrad: ? ?

Maska V: Ikarowy lot.

Konrad: ? ? ?
Maska V: A wiesz gdzie prowadzi?
Konrad: ? ? ? ?
Maska V: W przepaść!
Konrad: W przepaść?! Musimy coś zrobić coby od nas zależało, zważywszy, że tyle dzieje się, co nie należy do nas!

(Znikła — już inna jest na straży,
i niby myśl w zadumie waży).

Maska VI: To samobójstwo.
Konrad: Kajdany korrupcyi nas otoczyły. Ale odbędzie się szereg zdarzeń, który poprowadzi do —
Maska VI: Do zupełnego upadku.
Konrad: Do wyzwolin.

(Co tylko wpadła po za ściany,
już nowy idzie druh kłamany).

Maska VII: Czołem!
Konrad: Sokolstwo i urzędnictwo musimy skaptować. To jest POSŁANNICTWO. Mogą mię stemplować markami, jakiemi chcą, ja jestem wolny! wolny, nie zależę od niezawisłych ni socyalistów, jestem wyzwolony. Zwolony Orestes dał ziemi swojej uwolnienie od klątwy.
Maska VII: Nie jesteś wolny! przyjdą
Erinie! I głupstwo scześnie!

(Nagle gdy maska rzekła: scześnie,
zajękła dziwno jakby we śnie
i wpadnie nagle do podziemu
uległa przeznaczeniu swemu).

(Tu tworzy się przestworze za kulisami,
widać ujeżdżalnię pod kapucynami —
zapełnioną towarzyszami —
czerwona myśl się kłębi,

Ignac na trybunie w głębi —
burżoazji wymyślają —
czerwony sztandar śpiewają.
Rytm marny, rymy podłe!
ale to na wyzwoloną modłę).

Konrad: To uroczystość święta,
niech giną niewoli pęta,
Koniec memu błąkaniu,
koniec mojej udręce,
w czyjemże to szeptaniu
z nim ślubem sprzągniesz ręce?

Lud: Strzegę twoich ócz i twoich rąk,
Uchylam od cię mąk,
Zdejmuję z czoła znamię trwóg!

Konrad: Ty ogień mój i krew,
ty wiedziesz ku zmartwychwstaniu,
że się moje dni już nagłe liczą,
że już jesteśmy na zaraniu!

Lud: Panem będziem moim i sługą
A skutki zobaczysz nie długo!

AKT III.

(Ciemno i głucho. Rzecz w radzieckiej sali
Gdzie w akcie pierwszym rajcowie gadali).

Głos I: A cóż Konrad?
Głos II: Myśl jego jest!
Głos III: Jakaż to myśl?
Głos IV: Kiedy sam nie może być prezydentem,
więc nie chce dopuścić innego.
Głos V: Bagno, bezrząd, ślamazarność,
deficyty.

Rajca I: Zdobędziem się na wielki czyn.
Rajca II: O bracia, serce mię boli,
niechaj mię chór okoli,
Konrad przekonał prezydenta,
że jego kadencja święta,
że jeszcze całe lat dwa,
na prezydenctwie siedzieć ma,
choć większość innego chce
on iść nie może, nie może, nie!
Konrad: *(Jest mowa jego cicha przy słów wadze
słuchana, zamilkli, czują władzę
głosu i władzę słów tajemną,
Scena się staje zwolna ciemną,
mrok padł na ludzi i na ściany,
a naród w niego zasłuchany).*

Podnieście się duchem ze mną
po nad noc duszną i ciemną,
a pęta wasze spadną z rąk,
męką czekania zbyjcie mąk,
przez serce socha przejdzie rolna,
większości precz! jesteś tyranem!

*(Tutaj zapadła kortyna
Ale jestto kortyna z gazy.
Sztuka grana się kończy,
wszyscy odeszli. Drzwi zamkniono sali
Konrad pozostał w ciemnej hali).*

Konrad: Sam już na wielkiej pustej scenie,
Na proch się moja myśl skruszyła.
*(otwiera się głąb sceny — wpada
obywateli zgorszonych gromada).*
Konrad: Desek rozwarły się upusty,
z pod ziemi wstają!

Chór obywateli: Na żer! na żer!
precz safandulstwo!
wypędzić stąd gadulstwo!
Konrad: Erinie! bóstwa potępione
na czoło kładą mi koronę
wężowych splotów!
Chór: Żadne korony, żadne węże!
baty na retoryczne męże!
precz polityki z tej tu sali,
siedzicie byście tylko gadali,
my chcemy CZYNU, PRACY,
precz więc gaduły, próżniacy,
precz polityczne warczenie,
w porządnej pracy WYZWOLENIE!

A więc w błękitny ranek
Konrad Erinis z rajcami
niech idzie w świat
na lot
na szary świt,
tam skończy byt,
a naród będzie rad,
gdy się pozbędzie radzieckich zwad.

129

Skarga.

Zdala za krajem kiedy legiony
Myślą do Polski tęsknie się zwracały,
Żołnierz, ojczyzny miłością natchniony
Stworzył mazurka — nasz hymn wiecznotrwały;

Tysiąc walecznych gdy szło na bagnety,
Gdy krew płynęła koło Ostrołęki,
Górne uczucia rodziły — poety,
I tak powstały serdeczne piosenki;

Kiedy ~~Gdy~~ przemoc, kraj ~~nasz~~ ~~przy~~gniotła mogiłą,
Gdy do Sybiru wróg swe pędził brańce,
Piosnka żołnierska bole im koiła,
Ona nadzieją krzepiła wygnańce;

Lżej serce biło wśród więziennej kraty,
Nadzieja rosła wśród wygnańców grona
Na pieśń: jak „grzmiały pod Stoczkiem armaty",
Gdy przypomniano „Redutę Ordona";

W dymie pożarów, gdy krew znów trysnęła,
Gdy Kajn się zbroczył krwią braci swej ziemi,
Skarga poety do nieba wionęła
I pieśń potężną stworzył nam Jeremi;

A gdy styczniowe zawrzało powstanie,
Pieśń znów wyrosła zrodzona z tych boli,
Rzewne poety wzniosło się błaganie:
O Boże Ojcze! lepszej żebrzem doli!

. . . .

I znowu walka od roku się toczy,
Krew się przelewa i kraje się dusza,
Padły ofiary — łzami cieką oczy —
Lecz — nie ma barda, ani Tyrteusza!

Nasi poeci gonią za symbolem,
Erotykami bawią się wciąż jeszcze,
A my pytamy, zdjęci wielkim bolem:
Czemu pieśń milczy? Gdzie są nasi wieszcze?

Listopad 1905. *Klemens Bąkowski.*

(Nowa Reforma)

Niedziela, 19 Listopada 1905.

S E C E S S Y A

Sławnym się w styczniu stał dzień siedmnasty,
Bo rozleciała się rada na kasty,
Na różne kluby i na różne koła
Ich Sulikowski nakręcić nie zdoła.
Secessya w radzie! frajda stąd w narodzie,
Jan Pasterz z troską drapie się po brodzie-
Ten ów drugiemu bajki w uszy kładzie
Że teraz będzie jakaś heca w radzie!
Niepokój widać wśród radców na sali
Choć elektryka jak dawniej się pali.

Zasiedli wszyscy w poważnym nastroju,
Mało kto kopci tytoń w przedpokoju,
Jan ze zwyczaju po sali się błąka,
Gdy już prezydent bierze się do dzwonka,
Jan, jako dawniej, wzrok rzucił po sali
Czy wszyscy wierni się skon f e d e r o w a l i,
I akcyą wdzięcznym rozpoczyna gestem-
A Kosobucki: "Ja "mieszczanin" jestem"!
Jan się odwraca, wydobywa listę,
Lecz znów natrafia na "secessyonistę..."
Wnet mowcy skończą, będzie głosowanie,
Jan Pasterz myśli: "Pomóż święty Janie!"
"Panie Beringer, Pan jeszcze co powiedz!"
Lecz ten mu rzecze: "Ja już ne kołowiec!"
Zatem do Bobcia: "W Pana jeszcze wierzę"
A ten mu: "Jeszcze nigdzie ~~nie~~ należę.."
Więc znów Datnera chce wciągnąć w swe szyki,
A Datner na to: "Dzisiaj jestem "dziki"..
Gdy Jan w cichości wszystkie głosy zlicza,
Całą nadzieję składa w Judkiewicza,
Lecz i ten dzisiaj odwraca się tyłem:
"Ja już nie jestem tem, czem wczoraj byłem!"

Pasterz zmartwiony zaklął w djabłów trzysta,
Bo i Jaworski już "ekonomista"
I rezultatu czeka w dusznej męce,
Właśnie głosują, w górę wznoszą ręce,
Co też wypadnie z tego głosowania...?
A Schwarc już idzie do skrutyniowania.
Wtem się prezydent odzywa od stoła,
Że przeszedł wniosek - dawniejszego "Koła"
Szczęśliwy Pasterz głos ludu uznaje,
I po dawnemu karmelki rozdaje,
A stąd ten wniosek jest dla prezydenta,
Że przecież prawda jest w przysłowiu święta:
"Djabeł mniej straszny niźli go malują"
Jak głosowali - tak i dziś głosują..!

A dla miasta skutek z tego jaki?
że podrożeją ~~[illegible]~~ wnet mięso i flaki.

17/1. 1907.

134

PROF. DR. W. ŁEPKOWSKI
KRAKÓW
ULICA STRASZEWSKIEGO NR. 26
TELEFON 239.

Jmci Panu Radcy

Klemensowi Bąkowskiemu

ślemy pozdrowienie i w dniu Imienin
najserdeczniejsze życzenia :

Nie wiem jak pisać mam do Cię Klemensie.
Dziś w Radzie miejskiej demokracya trzęsie
Konserwatywnych Twoich przyjacieli
Do chwały swojej wszyscy dyabli wzięli.
Kto Twoim teraz przyjacielem, bratem ?
Skon Jan Kanty stał się demokratem.
Leo, co w Radzie na tym tronie siedzi
Rzucił purpurę pod nogi gawiedzi.
Złamał zasady poczciwe i stare,
A za nim poszli Stanisczewski - Sare
Chyliński dawniej do Kasy amator

Nie jest już więcej wice-gubernator
Straszna się chwila dla Narodu zbliża
Szarski przysięgał na Krzyż, lecz bez Krzyża
Wyrzekł się wszego, co było dlań święte.
Ewangelie czasowe, zniszczone, pomięte.
Inna nastaje era, inna w sprawach norma.
A szkolne Kierownictwo, co dzierżył Chyliński,
Dziś zajął z woli Rady, – Radca Konopiński.
Wszystko przeszło, upadło, wszystko się skończyło.
Ktoż teraz tam dziś stoi, gdzie Was tylu było?
Kto zasiędzie u Wenzla, gdzie piwa są szklanki –
Józef z Sądu i może nasz Henryk z Floryanki.
Oto wszystko, co teraz tam za stołem będzie
Jeden może Zawiejski z cicha się przysiędzie.
I zmęczony po pracy obetrze swe poty
I opowie słyszane stare anegdoty.
Jedno przecie zostanie, choć się wszystko zmieni.
Stary Kraków – ta masa mówiących kamieni,
Którą Ty z serca kochasz, słuchasz, pieścisz, czujesz –

I nam i dzieciom naszym pięknie opisujesz.
Dzisiaj Twego Patrona, dzień Imienia Twego
Więc wychylam z kielicha zdrowie Bąkowskiego.
Niech nam żyje! niech starą politykę na Radzie przedstawia,
I kult dla starożytnego Krakowa uprawia.

Szczerze oddani

Kraków dn. 25. XI. 907. W. Łepkowski z rodziną.

DO

Prof. Dr. Wincentego Łepkowskiego .

Właśnie wdziewałem spodnie w rannej porze,
gdy nadszedł wiersz Twój zacny Profesorze,
a zobaczywszy Twą firmę na liście,
„będzie tu dowcip”- myślę oczywiście,
i nie zawiodłeś w Twego pióra darze
u Ciebie serce jest z dowcipem w parze!
A więc za pamięć i o los mój troski
składa Ci dzięki wnet Klemens Bąkowski.
Niech Cię nie straszą polityczne zmiany,
jakich dziś dożył stary gród kochany
i o Wentzla się nie bój, pustek tu nie będzie,
czy tam Leo na tronie czy Tilles zasiędzie!
niemniej przy kuflu, jako dzisiaj bywa,
siędzie do stoła, póki starczy piwa.
A mimo zaszłe polityczne zmiany-
~~nie zapomniały o mnie różne stany~~
nie zapomniały o mnie różne stany:
z powinszowaniem otrzymałem listy
i od konserwy i secessyonisty,
najwięcej prawda było z demokracyi,
rząd więc większości przypadł z słusznej racji.
Pisał Jan Kanty w dzień mego imienia,
i wodociągu w piwnicy nie zmienia,
w demokratyczną chociaż dmucha trąbę,
starą ma jednak w zębach złotą plombę,
takich w ratuszu jest radców połowa,—
— na starej flaszce etykieta nowa,—
zmieniono barwę sztandaru spłowiałą,
zyskano pod nią za to armją całą;
gniewa się dawny vicegubernator,

(jak piszesz: dawny do kasy amator,
ja dodam: różnych posad łowca,
wpierw służka Lea, dziś kontrleomowca)
pieni się poseł, który wzrósł z nicośći
z poparcia Lea, a w dowód wdzięczności
codzień mu łatkę przypina w swym „Czasie"
i o ten bezwstyd nie jest w ambarasie-
pieni się "Naprzód", widząc groźbę w zgodzie, ~~zadowolenie~~
zadowolenie jest za to -w narodzie,
spokojniej radzą dziśiaj na ratuszu,
dawnej negacji nie ma animuszu.

A ja z daleka, historyk bezstronny
notuję w księgi „Czasu" okres płonny
i sens moralny wynikły stąd złoty:
nie braknie nigdy w narodzie hołoty.

Odrzucam pióro- zasiądę przy stole
w codziennem dawnych mych przyjaciół kole,
wołam o bombę i ten toast wnoszę:
Bądźcie mi dalej przyjaciómi proszę!

Kraków 24listopada 1907.

BALLADA PLANTACYJNA.

Zapadła wiosenna księżycowa noc,zeszły z plant ostatnie pary miłosne, zdrzemnął się stróż nocny,gdy uderzyła godzina duchów,dwunasta .....

Bojan drgnął na piedestale,brząknął w swą spiżową lutnię,ziewnął, przeciągnął się i rzekł do malca wspartego o jego kolana:

Strasznie monotonny żywot prowadzimy tu mój chłopcze! Wprawdzie tram_ waye nie tak blisko dzwonią mi nad uchem,odkąd mię tu przenieśli z pod kolei,miejsce ładne,ale mało cienia,w fontannie wody nie ma.Do licha z takimi wodociągami,w których woda jest tylko w zimie i w czasie wyle_ wów,a jak gorąco,to podlewają trawniki cuchnącą wodą z Rudawy,aż z niej kataru dostałem.Przynajmniej nocą rosa nas orzeźwia.Cudna noc!_Skocz mi chłopcze do sąsiadów,Chopina,Grottgera,i Mickiewicza,zaproś ich tu na wista _ Lilla Weneda zagra nam na swej lutni.

Wrócił chłopak za chwilę i rzecze:

_ Mickiewicza nie ma na postumencie _ chodzi jak zwykle nocą po roz_ maitych placach i narzeka,dlaczego go wszędzie gdzie indziej nie posta_ wili tylko między fiakrami i tramwajami na ogromnym rynku,gdzie nikt na niego uwagi nie zwraca.Poszedł teraz do Kościuszki namówić go,aby zaprotestował przeciw stawianiu jego pomnika także na rynku.Chopin po_ wiedział,że przyjdzie,ale w karty grać nie będzie,tylko zaakompaniuje Lilli Wenedzie nokturna.Grottger idzie.

_ Zaproś więc Fredrę z pod teatru i Zyblikiewicza z pod magistratu. Wrócił posłaniec z Fredrą,okazującym zadowolenie,że nie będzie przez chwilę przy tym teatrze,w którym nie bawią ni podnoszą ducha,lecz roz_ strajają nerwy_,ale Zyblikiewicz odmówił,bo strasznie zły _ klnie na magistrat,że w nim wszystko idzie żółwim krokiem i na radę miejską,że za dużo gada dla galeryi.

_ Myślą założyć wodomierze przy wodociągach,rzekł Fredro _ lepiejby założyli mowomierze w radzie!

_ Zbudź Litawora przy Grażynie,rzecze Bojan do posłańca.

Ale i Litawor wymówił się,że woli zostać z Grażyną.

_ Nie dziw _ rzekł Fredro _ zapomniałeś starcze siwobrody,że księżna piękna a Litawor młody!

_ Więc biegnij po Jagiełłę.

_ Daj pokój,rzecze Fredro, Jadwiga go nie puści;raz w życiu przegrał dwa tynfy do dworzanina,to mu Jadwiga krzyżykiem tak w kark dała,że się

141 ~~140~~

nie waży gry znowu próbować.

_ Tam do licha! Więc nie znajdziemy „czwartego" do wista?!

_ Nie martw się ojcze, przerwał Grottger, zapomniałeś o Matejce, Rodakowskim, Księżarskim mieszkających na tem pudle, które nazywają pałacem Sztuk Pięknych. Cały dzień z nimi nie mówię, bo odwracam głowę od tego pudła _ sarkofagu, teraz więc pogwarzymy przy wiście.

_ Ruszaj więc chłopcze i sprowadź zaraz którego!

Matejko poszedł jednak do katedry oglądać ceglate gęby Tetmajera w kaplicy Królowej Zofii, Rodakowskiego boli brzuch po oglądnięciu ostatniego „Salonu" szczęściem Księżarski oświadczył się z gotowością do wista, bo na widok willi z wieżą przy rogatce wolskiej postanowił nie oglądać więcej nowej architektury _ ruszył więc w stronę Bojana „czwarty" Księżarski _ a wtem kur zapiał, skamienieli wszyscy partnerzy na postumentach i wist nie doszedł do skutku.

Kraków 15/5.1904.

K. B.

Jako Pan Brudzewski do Włoch jechał.

I

Niechaj ma lutnia wrzenie wobec wyśpiewa
Jak do Włoch jechał nasz Karol z Brudzewa,
Jak romantyczne przebywał przypadki,
Zwiedzał tunele, koleje i statki,
Kąpał się w morzu, pocił się na słońcu,
Aż utrudzony powrócił na końcu!

Nie tak to łatwo tryb życia zaniechać
wszystko porzucić i z domu wyjechać!
Dom opuszczony trza otoczyć troską
Gdy się odwiedzić chce krainę włoską,
Więc nasz podróżnik czas sposobny bada
Jazdy rozkłady i mapy rozkłada,
By nie zależć od ślepego trafu
Radzi się „Zleutschla" radzi „Telegraphu"
Radzi się Brücka to znowu „Pakresa
Pisze adresy do swego notesa
Ten radzi ową, ten znów drogę taką
Każdy zaleca nie mijąc Monaco

Ten radzi hotel dei tre briganti
Ten znów do dumy radzi iść avanti,
Tamten gorąco Aquilę poleca
Gdzie stawa zawsze podróżnych gromadka
Inny Grandhotel, gdy na groszą sporo,
A trzeci znowu al Aquila d'oro –
Restauracyą radzi con Pilsnero
Jadać parmezan i pić cafe nero,
Klemens przemawia do jego rozsądku,
By włoską kawą nie psował żołądka,
Ktoś znów w potrawach oliwę mu chwali
Inny uciekać od niej jak najdalej,
Lecz zato włoskie wino jest coś warto
Chianti flaszkę – można też un quarto.

Do Włoch chce jechać, waha się w wyborze
Czy do Tunisu pojechać nie może?
Czy do Sycylii na ziemi trzęsienie
Czy pod Neapol pod cyprysów cienie
Czy za cel weźmie Rzym, czy Napoli
Palermo, Capri, Salerno, Stromboli,

/.

Zawsze włoszczyzna potrzebna nam w drodze
Więc nad słownikiem suszy głowę srodze.
Więc costoletta ala milanese
Kotlet oznacza — mostarda francese
Trzeba jasna musztardę oznacza,
Minestra zupa — apteka farmacia,
Arrosto pieczeń — a kołnierz coletto
Calza pończocha; — chustka fazzoletto
Potem po włosku: uno, due liczy,
Dieci dziesięć — piętnaście quindici,
Sumiennie codzień słownik włoski ćwiczy
I presto Włochom zaszedł tak gorączym,
Że włoską mową rozmawia z sługą
Każe kuferko ottime purgare,
Na drogę wybrać le mutande stare
Przyszyje guziki, pozbierać manatki,
Do lavandaji oddać zabrawa gatki,
Kuferko oddać al reparazione,
Dać nowe uszy i które zgubione,
Subito kupić i nowe buty nowe,
I zatroszczyć wyroby gumowe

By szczury widzieć na daleką mętę
Porywa w podróż od Rydla lunetę,
Tutto parato – Leśkowski zatem
Fotografuje go swym aparatem:
Piękna podróżna czapka na ciemieniu,
Luneta przez przez wisi na rzemieniu,
Wszędzie kuferek, i torebka wisi,
Przez rękę pled zarzutka wisiała,
Pod pachą laskę i parasol trzyma
Tak wszelką podróż bez troski wytrzyma

1908/9.

146.

Jasny Dom

Ballada

Gdzie młynówki ciemne fale
Niosą słomę i gnój stale
Do Łazienek pędzą wodę
Na pożytek i wygodę
Tam Jasnego Domu mury,
Dumnie wznoszą się do góry
Duże okna, białe ściany,
Dom solidnie zbudowany,
Nowoczesne w nim wygody
Dywan wiedzie cię na schody
A pod niemi wycieraczka
Na podeście zaś spluwaczka
Ktoś zaś chce oszczędzać nogi
Lift go w górę ciągnie błogi
Oświecono tu rzęsiście
— Elektryką oczywiście —

Są Tarowski kafelkowe
A wszystko wyroby krajowe:
Cała cegła od Guttmanna
Portland-cement od Libenera
Od Grejlicha et Karmela
Żelaziwa bardzo wiele
Drzewo zaś od Faltera
I. t. d. et cetera
Lokatorzy nieposzedni
Czynsz też płacą odpowiedni
Słowem wszystko jest wspaniałe
Lecz na świecie nic - bez ale!

Za dnia - wszystko jest w porządku
Jasno z okien w każdym kątku,
Wszędzie życie, wszędzie praca,
Ten wychodzi, ten znów wraca
Tam lokator coś rachuje
Tu profesor wykład snuje

Po namyśle coś tam pisze
Panny stukając w klawisze,
Tamten drzemie na kanapie
A gospodarz sobie — chrapie!

Lecz północy gdy godzina
Na ratuszu bić zaczyna,
To nie radzę ja nikomu
Do Jasnego wchodzić domu!:

W parterowej dużej sali
Nagle świecznik się zapali;
W środku stanie zastawiany
Stół obrusem powlekany
Na nim prosię chrzan mu w pysku
Tu majonez na półmisku,
Dalej indyk nadziewany
Tam zajączek szpikowany
Salaterki apetyczne

I kompoty barwne, śliczne, –
Rozstawione w równej mierze
Dookoła są talerze
Przy nich noże i widelce
I kieliszki przy butelce –
Drzwi się nagle otwierają
A w nich goście się zjawiają:
Ksiądz z kropidłem na ich czele
Kropi w koło jak w kościele
Potem się do stołu zbliża
Robi znak na piersiach krzyża
I zasiada – goście w koło
Się sadowią i wesoło
Biorą noże i widelce
I kieliszki przy butelce
Gwar – rozmowa rozwiana
Puka korek od szampana –
W tem – kur zapiał, lampy
gasną

goście milkną, a drzwi trzasną
I mazurkami we śnie wrzasną!

Ucichł hałas, zmilkły mary,
A zaskrzypł pan pewien stary
Zadumany, siwobrody,
Wzdycha ciężko, głową kręci:
„Tak to bywa panie młody,
„Gdy się domu nie poświęci!" [1])

10/12 1910.



[1]) Aluzja do Zawiejskiego, że mi wzbronił biletu z okazji przedstawienia Damy.

W Kawiarni Grand-Hotelu
Styczeń 1912.
Zawiejski (wpadając)

Witam panów, witam,
co nowego pytam
od rana w robocie
cały jestem w pocie...
  Co ja mam na głowie!
Leo jest we Lwowie
tu szkoła na Szlaku
marznie z okien braku,
gotów Święty Idzi
choć zeń Kunzek szydzi,
komin się tam zdejmie...
Leo wciąż na sejmie.
Szarski wciąż zajęty-
rzut szpitala zdjęty
jeden do sto skala
Muzeum z szpitala,
więża w facyacie...

Byłem w magistracie
pot się ze mnie leje-
Pan się czemu śmieje ?
pan zawsze nie wierzy !
Kłeczek grunta mierzy,
Rzymkowski na górze
robi dziury w murze,
wszędzie gruzy rumy
u Sarego tłumy.

Nie ma prezydenta,
zjedzie na dwa święta,
może go zobaczę
plan muwytłumaczę
na gmach seminarski
już go widział Szarski
(coś zakatarzony)
projekt uchwalony
pracy mam nadzieję-
Pan się znowu śmieje-
a pan do mnie co maja ?
to niewierny Tomasz!

W niedzielę się składa
Artystyczna rada :
Stryjeński jak piśnie
to się wnet zachłyśnie -
Plan już mam gotowy...
Szarski coś niezdrowy,
ot mizerny, blady,
dał mu urząd rady!
Ponoś w karnawale
ma dać ze dwa bale.
Sare przygarbiony
wciąż przyjmuje strony
Też mu radę dadzą!

Dziś dwie sekcye radzą :
projekt już gotowy:
pawilon dżumowy,
jeden dla cholery,
dla tyfusu cztery
dyfterya z boku,-
spluwaczki są w toku,

Fizyk znów afisze
z czemś opluciu pisze
znów mury ozdobi..
Pożyczka się robi,
będą znów budowy,
Leo będzie zdrowy,
to głowa, albowiem-
Ale coś wam powiem!
Hocka dziś spotkałem,
od niego słyszałem:
pyszna, masna, złota,
nowa anegdota,
śmiałem się najszczerzej...
Pan znowu nie wierzy!!
pan mię z tropu zbija!
Głód mi język zwija,
apetyt straciłem....
do Wentzla wstąpiłem:
do kawiołu kapki
zjadłem trzy kanapki,
kiełbasę, szyneczkę,
ser....bryndzę troszeczkę,
wędzonkę, śledziki....

Dajno paszteciki,-
szklankę zimnej wody
i pudełko sody!
Coś się znowu święci....
Jan Kanty się kręci,
coś z Sarem szeptali,
Bazesa wołali-
Jak Leo przyjedzie
znów robota będzie,
zbudujemy gmachy -
teraz zagram w szachy !
....

Chrzanowski

Ach! Skąpski idzie! proszę wszech
pan siada
Jakiś zły dzisiaj — milczy! nic
nie gada?

Skąpski

Prosto od pracy. Wracam z kon-
-ferencji,

Było trzech kuratorów i 5 ekscellencji,
Cztery hrabiny, jedna baronowa,
Pisałem wygadać! aż mięknie głowa.
Ale jest zgoda. Ja nie lubię sporów.
Zagrałbym w bilard na 40 forów.

Heinrich (wpadając)

Czy nie był profesor Kutrzeba?
Nie? to przepraszam – do domu iść
mi trzeba
(wybiega)

Krzeczmajer

No, pewnie Skąpski; dam forów
dwadzieścia!

Skąpski

Co? tak daje mało taki mistrz
z przedmieścia?
Trzydzieści osiem, to ostatnie słowo
Zresztą 3 jeszcze spuszczę honorowo!

Kutrzeba
(wpada)

\/.

Co u licha?!
To nie ma [illegible]?..
Z wizytą iść mamy —
Czekają przy damy —
(wypada)

. . . .

Z księgi liryk automobilisty.

I

Przy leśnej drodze, wonne szumią
sosny,
Ciszę przerywa pukanie dzięcioła,
Cieszy się ptactwo z słońca,
z woni, z wiosny,
A z rowu — sterczą samochodu
koła...

Nad leśną drogą błękit nieba świeci,
I nuty wietrzyk niesie woni leścistą,
Czasem zajączek gdzieś w krzaki przeleci
Nad powalonym w rowie automobilistą.

Na leśnej drodze, pusto, cicho,
świeżo —
Szofer na szczątki patrzy samochodu,
Obok stękając pasażerzy leżą
I podziwiają blask słońca zachodu.

1913

II

Ballada

Wśród cieniów nocy ukryty przy
drodze
Ponury Filon na zakręt spoziera,
A głaz olbrzymi leży mu przy nodze,
A on go drągiem podważa, podpiera...

Zemsta w nim dyszy, w myśli zamysł srogi —
A w tem pustelnik nadszedł świątobliwy
I rzekł doń: Usuń kamieni z drogi;
O święty ojcze — rzecze Filon mściwy,
Trzy piękne kury w domu ja chowałem,
A z nich kurczątka, jajka, dochód miałem,
Dziś z nich przejechał automobil szybki,
Pod nim kot Burek znalazł koniec chybki,
Przed samochodem pies nie uszedł z życiem,
Co słynął w koło przeraźliwem wyciem,
Mój Piątek luby, bawiąc na przechodnie
By ich zębami dopaść gdzie za spodnie,

Chciał sobie szczeknąć trochę na
maszynę,
I przejechali mi rozkochaną psinę!

Na to pustelnik jemu zwięzły rzecze:
„Że są wypadki, temu ja nie przeczę,
„Nie można jednak potępiać rys
czałtem
„Że czasem ~~psa~~ zwierzą przejechać się autem,
„Prawda iż czasem trafią się tacy;
„Ale nie każdy przewoźnik w samo-
chodzie taki,
„Spieszy na pogrzeb teściowej
lubej;
„Drugi ratować majątek od zguby,
„Ten może ~~jedzie~~ jechać do chorego lekarz,
„A ty z zwady na niego tu cze-
kasz?

Filon skruszony słowy pustel-
nika
Usuwa kamień i wnet w lesie
znika.

Z Włoch

Znaszli ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask
Podobno złoci drzewa?
Gdzie każdy znak
Zachwytu minę stroi
Co drugi krok
Tu z Baedekerem stoi?
Znaszli ten kraj?
Ach tam o mając niba
Tam będzie raj,
Gdy będzieszkiś powita!

Znaszli ten kraj
Gdzie trawa wnet usycha
Gdzie pinij rząd
Na piachu ledwo dycha?
Gdzie słońca war
Opala trawę, drzewa,

I żaden ptak
Piosenki nie zaśpiewa?
Ach tam etc

Znacie ten kraj
Gdzie pod Skałeczką górą
Wiatr śmiecie pyło
~~Ach etc~~
Okrywa kurzu chmurą?
Żołnierz co króla
Monetę da fałszywą,
W kościoła próg
Wstępując, marz dać na piwo?
Ach tam o moja mita!



Viareggio 29/7 1914.

W y t r w a ł o ś c i !

U Bizanca, w Esplanadzie
Na wojennej bywał radzie,
Bitew plany miał,
Na chodnikach brząkał szablą
Salutował z miną djablą
Raz na warcie stał!

Torba z boku je dna, druga,
Pas, rewolwer, szabla długa
Niechaj zadrży wróg!
Guzikami szyta klapa,
I łokciowa na łbie czapa
Ostrogi u nóg.

Literaty jako strzelce
Poszli śmiało aż po Kielce
I kałamarz też,
Nuż tam pisać i drukować
Rekwirować, porządkować
Na wzdłuż i na wszerz.

Gdzie moskiewski był djejatel
Zasiadł strzelec „Obywatel",
A kałamarz tuż,
Był komisarz, departament,
I beczkami szedł atrament,
Wśród wojennych burz.

Lecz że gorsze są nowiny
Rzedną zaraz jakoś miny
Wnet upada duch ...
Jeden słaby, drugi chory,
Do wytrwania coś nie skory
Choć był dotąd zuch.

I w kąt torby, czapa, szabla,
Znika dawna mina djabla,
A ostrogi z nóg
Cywil robi się z wojaka
Mniej jednego już junaka
Milknie szabli stuk.

165

O słomiane te zapały!
Coście nam już nie raz dały,
Przeszłość uczy nas -
Boże użycz wytrwałości,
Wtedy słońce nam wolności
Błysnąć musi raz !

Kraków 19 września 1914.

Nibelungi

Aus dem stolzen Brandenburgschloss
Ritter Kuno zieht in Krieg
Und daneben Bundgenoss!
Ritter Rudi, träumend Sieg.
Beide Ritter gleiches werth:
deutsche Treue... deutsches Schwert...
werden bald die Russen dreschen,
wie Polenkinder in Wreschen...

Auf dem Vormarsch geht es wohl
Requiriren Möbel,1/ Uhr 2/
Ihre Taschen sind bald voll,
Es fehlt ihnen... der Sieg nur.
Jeder Ritter gleicher Held
Stehlen Bilder,3/ Pelze 4/ Geld 5/
Beute muss man vom Krieg holen,
nun – berauben arme Polen –

1/ Wzdów, Radtów etc 2/ Łucrancowie, 3/ Wzdów Radtów 4/ w Mieleckiem 5/ Kradzieże na kwitach przy „rekwizycjach“.

167

Zu dem stolzen Brandenburgsschloss
Ritter Kuno hinkt zurück,
Und daneben Bundgenoss'
Ohne Arm und ohne Sieg.
Nibelungen Schwert und Treue
Beide sind jetzt schon vorbei,
Es blieb ihnen ~~als~~ Kriegsbeute
~~Und~~ der Fluch der armen Leute.
Nur

8/3 1915.

Taktyka

Wszędzie rowy i okopy,
Kryją się przed kulą chłopy,
Dawny obraz bitew znika,
Taka teraz jest taktyka.

Zginąć marnie to nie sztuka,
Więc „dekunku" każdy szuka,
Do szpitala żydek zmyka,
To wojenna jest taktyka

Niemcy pisać lubią dużo,
Oficerzy – piórem służą,
Rośnie wszędzie aktów plika,
To wojenna dziś taktyka

Pan generał dzielny w boju,
Woli jednak być w – pokoju,
W kancelaryi zatem znika,
To wojenna jest taktyka

169

Zgodne, zdrowe łyki — pisza!
I granatów, kul nie słyszą,
Bo protekcją ma ta klika,
To wojenna jest taktyka!

Cywil pismo mógłby zdradzić,
Lepiej oficera wsadzić
Choćby nawet pułkownika,
To ostrożna jest taktyka.

Z oficerów — kanceliści,
W polu za to landszturmiści,
Wróg przed nimi wściekły zmyka,
To rozumna jest taktyka!



21/3 1915

Warszawa wzięta!

Ciesz się narodzie! na murach Warszawy
pruska chorągiew w powietrzu szeleści,
wsłuchaj się tylko, jeżeliś ciekawy,
~~w jej szmerze nasze usłyszysz boleści!~~
bo z Poznańskiego ciche szepce wieści...

Cyt! słuchaj tylko,..chorągiew niemiecka
z wiatrem się wznosi lub z szmerem opada,
słychać w nim łkanie wrzesińskiego dziecka,
gdy pacierz biedne po niemiecku gada...

Cyt! słuchaj.tylko...wiatr w chorągwi wyje,
rzuca proporcem, a on ci szeleści,
jakto szulmeister polskie dziecko bije,
że sam wiatr nawet umilknął z boleści!

Cyt słuchaj tylko... wiatr znów nią porusza,
słychać w chorągwi skrzyp wozu Drzymały...
wywłaszczanego cicho wzdycha dusza...
Tak wzdycha teraz polski naród cały!

Kraków 6 sierp.
1915

171

G. d, I,
(General der Infanterie.)

Te Polaki niespokojne
smią narzekać na tą wojną!
że im meble zniszczą w dworze
lub zabiorą konie, zboże,
że poniosą w bydle stratą,
oni za to chcą zapłatą!
tu przyjść musi ręka twarda,
więc mianują von Collarda,
niechaj każdy cywil wie,
że tu rządzi G.d.I.

Ma zasługi ten generał,
ciągów w bitwie on nie bierał
spisywał się doskonale-
bo na froncie nie był wcale,
polską ruską mową włada
więc na rządcą już się nada,
wszystko mądrze, energicznie
przeprowadzi on prześlicznie,
niechaj przed nim cywil drży,
bo namiestnik G . d. I.!

Więc generał szablą brzęczy,
biurem, pracą się nie męczy,
jedzie autem , gdzie się zdarzy,
zajrzy czasem do menaży,
wszystko krótko, węzłowato,
bo on czasu nie ma na to,
co tu trapić się prośbami,
te adjutant z ostrogami
ma odrzucić- on już wie
a podpisze G, d. I.

Wszędzie podpis jenerała,
w tem wojskowość jego cała,
bo generał od piechoty
nie ma w pole iść ochoty.!
Nie narażasz tutaj głowy,
spełniasz urząd pokojowy,
więc nie brząkaj ostrogami,
infanterją ni gwiazdkami-
śmiesznie bowiem w aktach brzmi
ten niemiecki G . d . I.

Wojownicy.

Czy na plantach czy na A – B
Brzęk pałasza wszędzie słyszę,
Co u licha ten tu robi?
Ten?... gdzieś w komitecie pisze.

A ten znowu w innej czapce
Podkową po asfalcie wali?
Ten?.. referat drzewny pracy
Przy handlowej gdzieś centrali.

A ten dalej, mina, czapka,
A sznur srebrny mundur zdobi,
Panna okiem go pożera?
Ten?.. w gazecie wojnę robi.

A ten wąsek? Ten?.. maluje –
Zbiera z wojny szkice wzorki,
Tamten znowu na rocznice
Robi mówki i wieczorki.

Czy potrzebne są pałasze
Do pisania, malowania?
Niechaj to wyjaśni który!
Bo innego ogół zdania!

20/4 916

Komu kują, żaba nogę nadstawia.

Afisze na rogu
lud się przed nimi zbiera:
Manifest do ludu
Potuczka Gertlera!
Niechaj dla żołnierzy
każdy wełnę zbiera,
u spodu podpisy
Potuczka Gertlera!
Czyta lud plakaty
i w gazetach tuczek,
uwalnia Austrję
Gertler i Potuczek!
Każdy sobie myśli
że to tylko sztuczka
by order ozdobił
Gertlera, Potuczka.
Patryotów pamięć
niechaj nie zamiera,
po emancypacji zatem
Potuczka, Gertlera

15/5 916

WYODRĘBNIONA GALICYA.-

Duch poetycki subtelny, wrażliwy
rzuca i w przyszłość wzrok swój przenikliwy,
zruca zasłonę i wyodrębniona
Galicya przyszła z Krakowem złączona,
z rządem osobnym, z wicekrólem, dworem,
wraz z Oświęcimem, z książęcym Zatorem
i z Lodomeryą ... po pewne granice ...
staje jak żywa przed wieszczą źrenicę!
Wydział Krajowy z uśpienia wydarty
jął się odnawiać Wawel nie na żarty,
i pięć pokoji po latach tak wielu ~~odnowił~~
odnowił wreszcie w pałacu Wawelu !
Pod czujnem okiem wielu ekscelencyi
mamy nareszcie kawał rezydencyi.-
Mamy znów mądry senat i sejm walny,
namiestnik przed nim jest odpowiedzialny,
przy nim ministrów, zacna kraju rada,
w niej kwiat narodu, mądrości zasiada,
więc siedzą kołem poważni mężowie,
o każdym wiemy, że ma olej w głowie,-

Tuż obok Bobra, monistrów prezesa
masz ekscelencyę Gersona Bazesa,
on tekę handlu, Gross ma finansową,
sprawiedliwości został Bojko głową,
/bo demokracya i lid znaczą wiele,
więc Wilk lub Bojko muszą mieć portfele /
Dębowski został ministrem nauki,
Julian Nowak : rolnictwa i sztuki,
a Kosobudzki bystrego umysłu,
został ministrem wszelkiego przemysłu,
zaś radca Wony, choć też głowa bystra,
na sekretarza dostał się ministra.-
Fischer z tramwaju na komunikacyą,
Tilles wyznania, Blatt aprowizącyą,
Iwan Kiweluk i baron Wasilko
mają też teki, bez resortu tylko.-
Tetmajer z szablą ma hetmańską głowę
on ma pod władzą honwedy krajowe.-

Sejm ma poprzedzić wspaniała parada:
Wicekrólowai hołd złożyć wypada :
więc na Wawelu sztuka stosowana
pilnie pracuje od nocy do rana,
malują wzory na halabardników,

na frendzle tronu, na nogi stolików,
dziwaczne krzesła, szafki nowomodne,
fryzy z motywów bronowickiej skrzyni,
z góralskich wzorów niby gobeliny,
i całe lasy naciętej choiny.-
System rang dworskich układa pomału
pan Fedorowicz, mistrz ceremoniału,
Giorgio Mycielski w szambelańskim stroju,
już zmiata kurze w królewskim pokoju,
a Leo wzywa domów właścicieli
by facyaty dekorować chcieli.-

Nadszedł dzień wielki, dzień ów upragniony,
biją armaty, brzmią kościołów dzwony,
jest pochód wielki, narodu uciecha,
idzie tłum /: według schematyzmu Czecha :/ :
więc straż ogniowa, akcyza i szkoły,
kolej, weterany, bractwa i sokoły,
kler i wszechnica, administracyja,
i Krakowiaków konna banderyja,
Izba handlowa, z pejsami Centrale,
banki, skarb, sąd, zakłady, szpitale,
i król Kurkowy we wspaniałym łańcuchu
kura srebrnego dźwiga nad swym brzuchem,

dalej znów kachał, kasa Oszczędności,
Eleuterya od wstrzemięźliwości,
na końcu cechy z swemi chorągwiami,
wśród nich prezydent z panami radcami,
i grono szlachty.- Błyszczą żółte buty,
lśnią karabelę i pas słucki suty.-
Tu pan Sapieha, Loewenstein - Opoka,
Badeni, Haller, obok Rosenstoka,
Rey. Czartoryski, Rappaport-Porada,
Potocki .. Hupka, Piepes de Pomada,
Loewenfeld, Długosz, Kolischer, Szeptycki,
Lazrus, Szembek i Landau de Icki !

A na Wawelu w senatorskiej sali
już ministrowie obok tronu stali
w nowych kontuszach, na lewo posłowie,
a mianowani na prawo "parowie" :
więc pan Jaworski, Maiss, Maysa, Tarnowski,
Piniński, Smolka, Goetz i Baworowski,
Horowitz, Sare - brzęczą karabele,
próżno wyliczać senatu tak wiele !

Pochód nadchodzi - Lukas z armat pali -
z trzaskiem otwarto drzwi wielkie na sali,
pan Fedorowicz szeregi poprawia,
Wicekról we drzwiach z dworem się pojawia,
a od wiwatów drżą szyby i ściany :

A kiedy cisza napowrót nastanie,

Tarnowski długie wypowie kazanie.-

24. grudzień 1916 r.

Hymn lokatorów.

Krew nam pili gospodarze,
ciekły lokatorów łzy,
za to ich " ochrona„ karze,
panem w domach teraz my-!

Niech tam już gospodarz liczy
kominiarza popiół , gaz!
o naprawy darmo krzyczy
bo to nie obchodzi nas!

Czynsz co miesiąc marek parę
papierosa za nie kup,
nos ubranie, buty stare,
lokatora zaś nie łup!

Niech tynk z facyaty leci,
niech tam pęka gmach,
niech głodują twoje dzieci,
niech deszcz leje ci przez dach!

Niechaj kupiec się bogaci ,
paskarz niech napełnia trzos,
ale czynszu niech nie płaci-
słuszny gospodarze los.

Gdy ochrona kiedyś minie
lamentowi braknie słów ,
domy będą już w ruinie
a czynsz płacić każą znów-!

1/8 1923

PAN MATEUSZ

CZYLI

OSTATNI ZAJAZD NA KLEPARZU.

HISTORYA AKADEMICKA W 6 PIEŚNIACH

SPISAŁ

KRAKÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
1885.

PAN MATEUSZ

CZYLI

OSTATNI ZAJAZD NA KLEPARZU.

HISTORYA AKADEMICKA W 6 PIEŚNIACH

SPISAŁ

B.



KRAKÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
1885.

Z DRUKARNI WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
POD ZARZĄDEM J. GADOWSKIEGO.

185

Kolegom

Autor.

PIEŚŃ I.

PRZESTROGI.

Poezjo! nie leć na Olympu góry
Do mieszkań niebian, które kryją chmury,
Nie szukaj próżno cnót nadludzkich w świecie,
Co żyją tylko w kłamliwym poecie;
Zejdź na płaszczyznę żywota ludzkiego,
Zawodów, trudów i walki pełnego;
Wprawdzie najczęściej znajdziesz tylko błoto,
Lecz czasem perłę lub prawdziwe złoto.
Więc Muzo! — w drogę. Ja ci podam rękę,
Jeśli się boisz — zakasaj sukienkę!

* * *

Był mały pokój. Krótszy niż szeroki,
Pełno w nim gratów jest na wszystkie boki.
Pod oknem łóżko nieprzykryte stało,
Na nim bielizny zaś różnej nie mało.
Na stole obok książek piramidy,
Wszystkie traktują o sprawach Temidy,

Tu Zielonacki, tam skrypta Girtlera,
Obok znów dzieła Arndtsa i Rittnera,
Puchty, Windscheida, Zöpfla, Savignyego,
Ungera, Randy, Herbsta i Szultego.
Obok zegarek. Na kufrze surduty,
Krawatka, kołnierz, skarpetki i buty;
Na piecu lampa, manszety leżały,
Po których spływał na dół ręcznik biały.
Szafa otwarta, co tuż obok stała,
Każdemu zajrzeć wewnątrz dozwalała:
W niej wisiał paltot, różne kamizelki,
Szapo, frak, anglez, pantalony, szelki.
Na ścianie obraz kąpiącej Wenery
I innych sztychów kawalerskich cztery.
Gospodarz wpadłszy na zadumań pole,
Siedział na środku z nogami na stole,
Staszek Birbancki, chłopak jeszcze młody,
Smutny, bo dzisiaj nie pił nic prócz wody,
Myśli, że z wodą nie wytrzyma dłużej.
Stary paletot za szlafrok mu służy,
Wdział też pantofle cudnie wyszywane
I na odjezdnem przez siostrę mu dane,
A na nich barwy żółte i zielone,
A w środku z góry floresy czerwone.
Głowę swą wetknął między ręce obie
I zasmucony ot tak dumał sobie:
Trzy dni nie skleił sen mojej powieki,
Trzy dni płynęły jakby długie wieki.
Zawitał „pierwszy“. Słonko zaświtało,
Blaskiem wesołym pokój mój oblało,
Ranne dzień dobry nucą dla mnie ptaszki,
Ach! dziś znów zajrzeć będę mógł do flaszki!

Przez dni dwadzieścia i dziewięć czekałem,
Ucząc się z biedy poprzestać na małem.
Dziś się już zbliżył kres oczekiwania,
Znów się nadarzy możność pohulania!
Liczę minuty z natężonym uchem,
Cały się stałem jednym zmysłem — słuchem!
Ktoś idzie — nie — to nie chód bryftregera,
Gdy wolnym krokiem na piętro się wdziera —
Znów ktoś — to nie on — znam, znam ten krok lisi,
Znam — to krok mojej służącej Marysi!
Znów jakieś kroki — teraz się nie mylę,
To on — listonosz, będzie tu za chwilę.
Ujrzałem w centy brzemienne papiery,
Czemuż w miesiącu nie ma „pierwszych“ cztery!!!
Trzy razy księżyc zmienił swoją postać,
Ostatniej szóstki gdy musiałem dostać.
Dziś — znów „pierwszego“ tęsknie oczekuję,
Brakiem monety myśl mą biedną truję.
Gdzież znikły lotnie te guldeny liczne?
Było czterdzieści — dziesiąteczki śliczne . . .
Jedna na długi — na obiady druga . . .
Jedna piąteczka służącej usługa . . .
Dziesiątkę kryją zapomnienia cienie —
A jedna piątka! o smutne wspomnienie!
Powabnych kształtów cudowna dziewica,
Jedwabne włosy, kraśne miała lica . . .
Pomnę to szczęście, pomnę owe chwile,
Które niestety już przemknęły mile! . . .
Cudnie marzyłem — srodze mię zbudzono —
Dzisiaj głód do mnie wyciąga ramiona,
Chce mię przycisnąć do zimnego łona —

Precz! precz! Nie taki kres mojego bytu!
Mnie świeci przecież — nadzieja kredytu!
„Kredytu!“ ściany powtórzyły echem.
Zerwał się Staszek z wesołym uśmiechem:
„Żyjemy — krzyknął — zapomniałem o tem!“
Zrzucił więc szlafrok i pantofle potem,
Zrzucił pantofle cudnie wyszywane,
I na pamiątkę przez siostrę mu dane,
A na nich nitki żółte i zielone,
A w środku z góry floresy czerwone.
Przebrał się szybko, wypadł z kamienicy,
Pędzi na Kleparz jak wiatr po ulicy.
Więc za nim Muzo! przejdźmy się po rynku
I wstąpmy, luba, ach! — choćby do szynku.
Na środku rynku stał dom odrapany,
Stare ku ziemi zapadły się ściany,
Okienka małe świecą tuż przy ziemi,
A wonny rynsztok płynie tuż pod niemi.
Obok zielone okiennice wiszą,
Z każdym powiewem wiatru się kołyszą,
Nad wjezdną bramą szyld jest malowany,
A na nim napis: „Zajazd“.
I dach zajazdu mchem już porósł stary,
Dźwiga na grzbiecie kominów dwie pary,
Obok dymniki, jak małżonków dwoje
Siedzą przy sobie licząc lata swoje;
Tymi się miłe światło na strych leje,
Tymi się nocą wkradają złodzieje.
Na prawo stary płot drzewny się wije,
Kapustę sobą panny Mani kryje,
Drzewa ogródka długie sznury łączą,
Schnącą bieliznę rozmaitą plączą.

Wtem się u okna ruszyła kwatera
I oko nasze do wnętrza zaziera:
We wnętrzu Mania, powabna panienka,
Stała przy oknie, a jedna jej ręka
Wzniesiona, gwałtu!... — trzymała... czy wiecie?
Poezjo! czegóż nie radzisz poecie!
Myślą nam każesz daleko ulatać
I w prozę życia ideały wplatać,
Tybyś myśl moją rada ukołysać
Radziła: różę trzymała — napisać.
Lecz powiem prawdę: kieliszek trzymała,
A drugą rączką sznapsa nalewała.
Widzi to Staszek i przyspiesza kroku
I wkrótce przybył do Maryni boku.
Izba ogromna, z podłogą ceglaną,
Śnieżystem wapnem była pobielaną,
Powałę tworzą heblowane belki,
Pod oknem szynkwas, wódek zapas wielki.
W nim wonny arak i gdańska przejrzysta,
Dalej kminkowa i żytniówka czysta,
Likier rumiany, smaczna kontuszówka,
Czysty spirytus, tęga szpagatówka.
Do koła stoły.
Że dziś nie niedziela,
Więc gości w izbie zasiada nie wiela.
Paru studentów bigosy zajada,
Kiedy nasz Staszek jako bomba wpada.
„Głodnym jest wściekle, a więc bez ogródki,
Maryniu piękna — daj kieliszek wódki!“
Tak rzekł nasz Staszek i napił się trunku,
Pod jego wpływem zapomniał frasunku,

Potem co żywo rozbratel połyka,
Kiedy ktoś nagle drzwi izby odmyka.
Wszedł pan Mateusz, starzec już zgarbiony,
Lecz rzeźwy jeszcze, chociaż pochylony,
Choć włosy białe, twarz miał czerstwą, zdrową,
Lecz pooraną zmarszczkami, surową,
A z pod brwi błyskał bystrych oczu parą;
Konfederatkę na głowie miał starą,
Niegdyś czerwoną, dziś już wypłowiałą,
W zębach zaś trzymał fajkę starą, małą,
Porcelanową, od dołu z odlewką
I przykrywaną mosiężną pokrywką.
Mateusz w całym Kleparzu był znany,
U wszystkich mieszczan wielce szanowany,
Z wszystkimi prawie był on w pokrewieństwie;
On chętnym swatem jest w każdem małżeństwie,
On pośredniczy w wszystkich zaręczynach,
On ojcem chrzestnym jest na każdych chrzcinach
I na Kleparzu od lat bardzo wielu,
On był starostą na każdem weselu.
Gdy wszedł do izby, czapkę z głowy schwycił,
Obecnych w koło ukłonem zaszczycił.
Napił się wódki, splunął na podłogę,
Potem uścisnął swą Marynię drogę,
Potem z ust wyjął swą fajkę z odlewką
I przykrywaną mosiężną pokrywką,
Puścił kłęb dymu i rzekł lotne słowo,
Czasem mimicznie kiwając swą głową:
„Cóż tam nowego panowie powiecie?
Co w polityce, co słychać na świecie?
Ponoś stolicę Kościoła zamierza
Wróg zabrać, pragnie wypędzić papieża?

Tak u świętego wczoraj Floryana
Było w kazaniu księdza Boliana. —
Ej akademiki! ej panowie młodzi,
U was to wszystko po głowie wam chodzi,
Niewiara u was skrzydła rozpościera,
Z ust bezbożnika, jakiegoś Birtlera,
Profesorowie plotą wam androny —
Mówił i o tem wczoraj ksiądz z ambony,
Że młodzież dzisiaj, że akademiki,
Same bezbożne są to heretyki,
Że zatwardziali we występku brodzą,
Że na rozpustę, nie na studja chodzą...
Strzedz wam się radzę i nie gadać o tem —
Nieszczęście bowiem łatwe z tego potem;
Tu na Kleparzu przez to was nie lubią
I przy okazyj chętnie was wyczubią.
Więc o religii nie gadać tu wiele,
Nie siać niezgody w chrześcijan kościele...
Tu naród cały kocha Boliana,
U nas w papieża wiara niezachwiana. —
Mularze zwłaszcza, naród wojowniczy,
Ani się z mową, ani z pięścią liczy,
A mianowicie mularze z Krowodrzy,
Chętni do bitki, choć są ludzie dobrzy.
Nie zaczepiajcie więc tego narodu
I gdzie do bitki nie dajcie powodu".
Tak rzekł Mateusz i fajkę z odlewką
Zaopatrzoną mosiężną pokrywką,
Wsadził do gęby, puścił chmury dymu
Gęste i czarne, jak gdyby z kominu.
„Tak radzi stary — podjął znów po chwili —
„Pomnijcie, byście głupstwa nie zrobili,

„Bo z małej, czasem rzecz wielka się bierze“.
Staszek za radę dziękuje mu szczerze
I na odchodnem kufel w siebie wléwa.
Potem u Mani zaznacza passiva
Kredą na czarnej pod oknem tablicy:
Rozbratel, wódkę, kawał polędwicy,
Kufelek piwa, dwa małe bigosy,
Co razem centów sześćdziesiąt wynosi —
Potem pożegnał Manię, Mateusza,
I z nowinami do kolegów rusza.



PIEŚŃ II.

KASYNO STUDENCKIE.

Pędzi nasz Staszek do kasyna żwawo,
Trąca przechodniów na lewo i prawo,
Dopada wreszcie schodów od kasyna:
Egipskie ciemnie! świecy na nich nie ma.
Skąpy właściciel nie popuści trzosa,
Niech akademik nabije tam nosa!
Trafił nareszcie w drzwi macając mury
I wiodąc kroki za krzykami z góry.
Gdy drzwi otwiera, cóż oko uderzy?
Kościoła, domu, czy też widok wieży?
Wiemy z historyi o różnych ogromach,
O piramidach, labirynckich domach.
Na piramidę kasyna nie stało,
Więc wielką szafę tylko zbudowało.
Jej cię to widok uderza na przedzie,
Kiedy się okiem po kasynie wiedzie.

Reszta jest mglistą okryta powłoką,
Nim z dymem cygar oswoi się oko.
Najprzód, powoli z pośród rzeczy wielu,
Z mgły się wynurzy dyżurny w fotelu,
Ten z papierosa, dym obficie zionąc,
Patrzy na zegar, w zadumaniu tonąc,
Rychło-li minie dyżuru godzina,
Bo mu się nudzić już wściekle zaczyna.
Opodal nieco, stoliki szachowe.
Nad nimi gracze suszą sobie głowę.
Ten zadumany, palcem w czoło stuka,
Znać posunięcia w swojej głowie szuka,
U przeciwnika już uśmiech przelata,
Znać w kilku „cugach“, że daje już mata.
W drugim pokoju, w bilardowej sali,
W koło bilardu różni gracze stali,
Chociaż wszelkiego tamże bajtlowania
Surowo nowy regulamin wzbrania.
Śmiech się dokoła rozlega co chwilę,
Gdy chudy Bekas uderzy w swą bilę,
A chudy Bekas robi „świń“ bez liku,
Pomimo śmiechu patrzących i krzyku.
Staszek powitał tego i owego
I do pokoju podąża trzeciego,
Gdzie wśród natłoku widać głów bez liku
I pełno siedzi przy każdym stoliku,
I długie jakieś wiodą rozhowory,
Bo właśnie dzisiaj są nowe wybory.
A dużo mężów staje do zawodu,
A wszyscy równie wysokiego rodu;
Wielkie zalety ma jeden i drugi,
(Większe lub mniejsze ma w kasynie długi).

Dotąd powszechna wśród kolegów zgoda,
Nad wszystkich wyżej stawiła Stonoga.
Lecz nie jednego męża obrać mają,
Bo wydziałowych, skarbnika szukają.
Ozwał się dzwonek. Wszyscy już się zbiegli,
Jak kto potrafił, w koło się rozsiedli,
Najwięcej żydów, bo tych wszędzie wiele,
A wśród nich Lerman, Rubinstein, Kitzele,
Dalej stał Glattman przy boku Deichesa,
I Kalman Cypres obok Margulesa,
Rosenzweig w tyle, dalej Hirsch Fajglowitz,
Goldberg i Goldsand, Goldbaum i Horowitz,
Trzej Silbersteiny, starszy Patzanower,
Apfelbaum, Birnbaum i Izak Rakower.
Znów zabrzmiał dzwonek. Protokół na stole,
Czem zwykle narad zaczyna się kolej.
Lecz choć się wszyscy na naradę pchali,
Nie pusto jednak w bilardowej sali.
Tu chudy Bekas robi „świń“ bez liku,
Pomimo śmiechu patrzących i krzyku.
Steinkeller właśnie próbował buzera,
Lecz opuściło szczęście Steinkellera:
Trafił za blisko, bila mknie z ukosa
I tak na próżno pozbawił się sztosa.
Więc krzyknął gniewny:
„Na ciebie jest kolej!
Graj więc Bekasie, ty masz w głowie olej!“
Ten spojrzał smutnie, bo nie ma „siadacza“,
Lecz za kij bierze i nic nie rozpacza.
Natarł kij kredą, spojrzał gdzie są bile,
Stanął — znów spojrzał i pomyślał chwilę —

Jakby ukąszon był przez tarantulę,
Nagle z nienacka szturknął w jednę kulę.
Warknęły bile, rozległ się śmiech w sali,
A długi Bekas „fałszem“ się swym chwali.
Smutna pociecha nieszczęsnego gracza!
Przeciwnik za to zręczność swą roztacza.
Biada na bilard, na „pechowną“ dolę,
Lecz przecież robi cztery karambole.
Puścił piątego. Podstawił się strasznie,
Bekas jak na złość, robi „świnię“ właśnie,
Pomimo „falszów“ odwrotnych i „tuszu“,
Rżnie karambole pełen animuszu.
Puścił znów sztosa.
Sala brzmi od echa,
Że Bekas dzisiaj ma strasznego „pecha“.
Wtem Jakób nadszedł i głośno ogłasza,
Że nie grać więcej wszystkich się uprasza,
Dziś bowiem wielce ważne zgromadzenie;
To mówiąc, bile chowa w swe kieszenie.
Radzi nie radzi poszli na narady,
Gdzie się już wszczęły mówki pełne swady.
W sali nabito, jako w beczce śledzie,
Iż nawet Bekas w niemałej był biedzie
Zmieścić się jeszcze, choć cieńszy od kija.
A ciekaw bardzo, bo tam jakaś chryja,
Gdy na lewicy biją huczne brawo,
Cisza ponura zalega na prawo.
Prezes obrany. Teraz nie pomału
O członków innych walczą do wydziału.
Do walki stają różni kandydaci,
Każdy się łasce poleca swych braci,

Ten, ów poleca swego kandydata,
Chwali, podnosi, iż jest demokrata,
I tak wciąż bają kręcąc się w tem kole,
Gdy zabrzmiał dzwonek prezesa przy stole.
„W kwestji tej Gembosz o głos teraz prosi“.
Z lewicy brawo, z prawa krzyk się wznosi;
Zrywa się mówca od fortepiana:
„Koledzy! rzecze — rzecz to wszędzie znana,
Że młodzież w drogi wstępuje dziś nowe —
Przebrzmiały dawne tradycje rodowe —
Przebrzmiała dawna szlachecka potęga,
Lud po najwyższą dzisiaj władzę sięga,
I tylko trzeba wzbudzić masy całe,
Zrzucić okowy rdzą już zapleśniałe —
Takie kandydat mój żywi zasady.
Zatem, koledzy, bez długiej narady,
Dajcie mu wyraz swego zaufania,
Dajcie mu głosy wszyscy bez wyjątku —
Lecz jeszcze wrócić muszę do początku,
Dorzucić muszę tu słów jeszcze parę,
By kandydata dać wam ceny miarę:
Znany kolegom, znany od lat wielu,
Studencką kuchnię stworzyć ma na celu.
Nie dość, że robi nad tem, co zamierzył,
Lecz nawet — jak się poufnie mi zwierzył —
Dzieło już pisze o kuchennej sztuce
Ku pożytkowi wszystkich i nauce,
Gdzie poda sposób robienia bifsztyka,
Który nie będzie kosztować fenika;
Sądzę, że jest to wynalazek walny,
Który dobrobyt wzniesie socyalny!“

Zaledwo skończył, a tu huczne brawo
Zabrzmiało w sali na lewo i prawo.
Kandydat przeszedł przeważną większością,
Poczem Kalembur był niezgody kością.
Kandydaturę jego Bąk popiera,
Jak pragnąc uczcić z innymi Hausnera,
We Lwowie walczył z policyantami,
Nawet był ranny; czego ten był powód,
Że zabroniono im zrobić korowód.
„Co za korowód! — ktoś z kąta podniesie —
„Wszak to po polsku fakelcugiem zwie się!“
Na to się liczne podniosły zarzuty,
Słowo: „fakelcug“ przyszło pod dysputy,
I dużo trzeba przejść było kłopotu,
Nim do dawnego wrócono przedmiotu.
Kalembur przeszedł, choć oponowano,
Na tem porządek dzienny wyczerpano.
Wtem nagle Staszek zrywa się siedzący,
Krzyczy, że jeszcze ma wniosek naglący,
Umotywuje zaraz, tylko o głos prosi.
Wiedzieli wszyscy, na co się zanosi,
Więc każdy znowu na miejscu zasiada,
A Staszek do nich w ten sposób zagada:
„Nie wiem, koledzy! dokąd Kościół zmierza,
Gdy nieomylność przyjmuje papieża,
Atoli skutki już się okazały:
Świat naukowy — protestuje cały.
Nasz Padurowicz, Gilewski — wyklęci!
Atoli sądzę — coś więcej się święci!
Ot u świętego wczoraj Floryana
Było kazanie księdza Boliana.

W nim gadał śmiele, że akademiki
Są dzisiaj wszyscy same heretyki,
Że zatwardziali we występku brodzą,
Że na rozpustę, nie na studya chodzą,
Że każdy djabłu, nie Bogu się kłania —
Jutro ciąg dalszy nastąpi kazania.
Więc pójdziem wszyscy, wysłuchamy sami,
Czy prawda, że nas publicznie tak plami,
A jeśli prawdą wieść ta się okaże —
Niech ksiądz grzech z siebie skórą swoją zmaże!“
Gdy skończył, brawo jakby huragany
Śniegu i gradu uderzyły w ściany,
Zabrzmiało w koło z prawa i z lewicy,
Bo cenią honor swój akademicy;
Na aklamacją wniosku się zanosi,
Wtem mądry Stonóg o słów parę prosi.
Stonóg stał z boku, podparty przy murze,
I nierad bardzo całej awanturze,
Chciał jakoś skręcić całej sprawie głowę
I w tę się do nich odezwał on mowę:
„Koledzy moi! raczcie zważyć chwilę,
Czy na wieść prostą warto krzyku tyle?
Potrzeba sprawdzić, przekonać się o tem,
A gdy się sprawdzi, więc dopiero potem
Żądać u sądu zadośćuczynienia,
A nie w lot rzucać kamień potępienia,
Nie robić burdy ani krzyku wiela,
Gdyż na to prawo pomocy udziela;
Wybrać komisją, wysłać na kazanie,
A ta nam tutaj złoży sprawozdanie“.
Tak radził Stonóg. Słuchali go radzi,
Mędrszego słuchać nigdy nie zawadzi;

Lecz większość przeciw wznosi ręce w górę,
Ażeby jutro zrobić awanturę,
A w tej większości żydów bardzo wiele;
Na przodzie Lerman, Rubinstein, Kitzele,
Radzi z niezgody w chrześcian Kościele,
Dalej stał Glattman przy boku Deichesa,
Schudmak i Bazes obok Margulesa,
Rosenzweig w tyle, oraz Hirsch Fajglowitz,
Goldberg i Goldsand, Goldbaum i Horowitz,
Trzej Silbersteiny, starszy Patzanower,
Apfelbaum, Birnbaum i Izak Rakower.
„A więc gdy takie jest większości zdanie,
Rzekł Stach — że pójdziem wszyscy na kazanie,
Zatem wystąpić trzeba solidarnie!
Każdy niech jutro swych znajomych zgarnie,
Bo gdzie honoru rzecz ma być sądzona,
Nie masz niezgody wśród młodzieży grona.
Jak razem, to wszyscy razem, mosanie,
Niech akademja jak mąż jeden stanie!
Pozwólcie tylko jedną rzec uwagę:
Niech każdy z sobą weźmie grubą lagę,
Bo Kleparzanie z cicha podburzeni,
Djabelnie ku nam źle usposobieni,
Czasem podpici przyznają się szczerze,
Że heretyków obić chęć ich bierze.
„Hurra! — krzyknęli — hej na Boliana!
Będziemy wszyscy tam u Floryana!“
„Na Boliana!“ wszyscy powtórzyli,
I zgodnie razem na komers ruszyli,
A na wezwanie przewodniczącego
Miejscem komersu jest handel Fuchsego.

Ustały walki i umilkły burze,
Mało kto jeszcze pozostał na górze.
Posner papiery do szafki zamyka,
I tylko szuka w kieszeni kluczyka;
Ze schodów liczne odbrzmiewa tupanie —
Wkrótce ucichnie, Jakób sam zostanie.
I Posner odszedł.
Zamknął Jakób zamki,
Pochował klucze, popróbował klamki,
Kontent, że się już kończy jego praca,
Szybko w kasynie porządek przywraca.
Stołki pozbierał i kurze pościerał,
Złożył gazety i szachy pozbierał,
A że na bilard patrzeć jego dola,
Spróbował w drodze zrobić karambola.
Nakręcił zegar, posłuchał czy tyka,
I zadumany usiadł u stolika.
Myśl jego w przeszłość kasyna ulata,
W niedawne owe tak szczęśliwe lata,
W szczęśliwe chwile, gdy walk tu nie było
I o stronnictwach nikomu się śniło,
Nie było kłótni, niezgody, ni wrzasku.
Tak zadumany wśród księżyca blasku,
Patrząc w przebrzmiałą przeszłość tę promienną,
Oparł na ręku ciężką głowę senną;
Pamięć lat dawnych do głowy się tłoczy
I dziwne mary stają mu przed oczy:
Suną szeregiem wśród blasku księżyca
Dawni prezesi poważnego lica;
Poważni, jakby z mogiły powstali —
Naprzód Domański dzielnym krokiem wali,

Kwieciński za nim, Gluziński, Jabłoński,
Merunowicz i Cosel i Lesław Boroński,
Buszek, Pareński, Świerz i Filasiewicz,
Starkel, Śliwiński, Kaźmierz Bartoszewicz;
Za tymi znowu jakież to widziadło?
To biedny Borek z swą twarzą wybladłą,
Troski go liczne do grobu wpędziły.
Za tym znów Stonóg pełen męskiej siły,
Trzyma pod rękę cnego Bogdanika,
Prezesów szereg ostatni zamyka...
Mkną przed Jakóba sennemi oczyma,
Powoli nikną, nic ich nie zatrzyma —
Promień księżyca jak wpierw świeci drżący...
Tak marząc zasnął kasyna służący.



PIEŚŃ III.

KOMERS.

. . . .

Z początku hałas, stukanie i krzyki,
W podkowę stoją krzesła i stoliki.
W koło usiedli nasi przyjaciele,
A z nimi Lerman, Rubinstein, Kitzele.
Lecz choć już wszyscy zasiedli do koła,
Najpierwsze miejsce próżne jest u stoła:
Tam siędzie prezes komersu młodzieży,
Jemu tam miejsce pierwsze się należy,
Obrać go mają, a powszechna zgoda
Prosi nowego prezesa — Stonoga,
„Niech przewodniczy!“ głos ogólny woła.
Więc zasiadł Stonóg, dziękując dokoła.
Gdy to się stało, napowrót usiedli
I milcząc pili lub też wirsztle jedli.
.... Toastów nadeszła już pora.
Więc prezes wznosi zdrowie kuratora;

Potem nasz Staszek w nadobne frazesa
Pije za zdrowie kolegi prezesa.
Prezes dziękuje i znów zdrowie pije:
„Niech wiceprezes jak najdłużej żyje!“
Potem znów zdrowie piją podskarbiego,
A ten dziękując za pamięć na niego,
Na odlew wznosi zdrowie sekretarza,
A ten znów pije do biliotekarza.
Gdy wyczerpnięto szereg dygnitarzy,
Piją, gdy tylko sposobność się zdarzy:
Ten do sąsiada, ten toast kochanki,
I tak bez końca trącają się w szklanki.
Nareszcie Gembosz podnosi się z kąta,
Stając na krześle, głosu znakiem żąda.
Gdy mu głos dano, jął bajać szeroko,
Jak naród utkwił dziś w konserwatyzmie,
Ultramontanizm jak wrósł się głęboko,
Lekarstwo na to jest w liberalizmie,
A więc trza „postęp“ rozszerzać dokoła,
Usuwać zwolna wszędzie wpływ Kościoła,
Arystokrackie zwalczać przekonania
I postępowe w ludzie krzewić zdania.
Gdy się tak Gembosz wygadał do woli,
Na Wodnickiego nadeszła znów kolej:
„Koledzy! — rzecze — nie chcę mówić wiele,
Wszyscyśmy równi, wszyscy przyjaciele!
Wszystkie te mówki, te piękne gadania,
Te o postępie, Kościele bajania,
To odróżnianie pana, demokraty —
Próżne to słowa — bośmy wszyscy braty!
To wznieca kłótnie pijackie i waśnie,
Dajmy im pokój — niech je piorun trzaśnie!“

Ta energiczność ostatniego zdania
Trafiła wszystkim do ich przekonania.
Dali więc pokój polityce wszelkiej,
Za to się wzięli dzielnie do butelki.
Krążą kieliszki i butelki kołem,
Ten, ów już ścięty leży gdzieś pod stołem,
Rumieniec lica już wszystkich rumieni,
Lecz mimo tego mówcy niezrażeni
Gadają ciągle, różne hasła głoszą,
Jeden za drugim wciąż toasty wznoszą.
Gdy i Takowicz jął się do gadania,
Wszczęły się ciche mądrzejszych szemrania,
Lecz on swą mówkę ciągle jeszcze prawi.
Każdy jak może w swym kącie się bawi —
Ten o jutrzejszej znów wyprawie gwarzy,
Czy awantura jaka się nie zdarzy —
Ten w zębach dłubie, albo na głos ziewa,
Inny półgębkiem jakąś piosnkę śpiewa,
Inny mniej grzeczny głośno zdrowie pije:
„Kolega Jacek niech nam długo żyje!“
Ale Takowicz jak zaczął tak plecie;
Aby mu przerwać, znalazł się ktoś przecie,
Co bez żenady jawnie głos zabiera —
Wnosi: kolegę prosić Lamszajdera,
By z swojej cytry dobył miłe brzmienia
Gwoli zabawy urozmaicenia.
Na to prezes się ozwał: — „Approbatur!
Niechaj Lamszajder zagra „Nur für Natur“.
Wołają mistrza, cytrę mu przynoszą,
I by co zagrał usilnie go proszą.
Mistrz się wyprasza i niby się wzbrania,
Że palce jego odwykły od grania,

Lecz się niedługo dał w końcu ubłagać.
Na to rzekł prezes: „Silentium! siadać!“
Ucichło wszystko i cisza nastała,
Tylko strojona cytra się ozwała
Czasem dźwięcznemi z metalu strunami,
Aż mistrz w nią z lekka uderzył palcami.
Z początku cicho pod trąceniem ręki
Zabrzmiały struny, jakby jakie jęki,
Lekkie i ciche, jak powiewy wiatrów,
Wzrastają coraz. Tak z wierzchołka Tatrów,
Z skrytego źródła wzrasta potok mały,
Sączy się szemrząc nieznaczny przez skały
I w drodze inne pochłania potoki,
I wzrasta ciągle, płynąc przez opoki —
Wreszcie z potoka, z małego strumienia,
W rzeki wodospad wielki się zamienia.
Tak dźwięki cytry coraz silniej brzmiały,
Aż wzrosły wreszcie w akord okazały;
Z akordu zwolna tworzy się już pienie
I „Nur für Natur“ wzbija się w sklepienie
Odczuli wszyscy drganie od walczyka
I u każdego szmer powstał stolika,
W takt o talerze biją widelcami
I przytupują do taktu nogami.
Nagle mistrz plącze i przemienia tony,
Biega po strunach i jakby natchniony,
Jak gdyby przeczuł słuchaczy życzenia,
Walc w ulubioną poleczkę zamienia.
Ledwo słuchacze mistrza myśl pojęli,
Choć się nasłuchać dość czasu nie mieli,
Mistrz w „mol“ przechodzi i znów dźwięki ciche
Oddają smutną piosnkę: „Die heimliche

Liebe!“ Wszyscy się z kochankami smucą,
„Das ist die Liebe“ po cichutku nucą,
Każdy swą myślą za komers ucieka,
Każdy wspomina chwile u Frybeka.
Mistrz dalej, jakby umyślnie, podnieca,
I gra im marsza; każdy tupie nogą,
Lecz wreszcie wszyscy wytrzymać nie mogą:
„Du Elisabeth!“ chórem okrzyknęli,
Akompanjować cytrze w koło jęli.
Takt po talerzach biją widelcami
I przytupują do taktu nogami —
Nagle ustali — bo mistrz tony wznosi,
Natęża takty — coś nowego głosi —
Przerywa nagle — i o kufel prosi.
Dali mu chętnie, wdzięczni za to granie,
I rozpoczęli dalsze zajadanie.
Cisza wróciła — znowu brzęk talerzy
Słychać — czasem ktoś w szklankę uderzy.
A na to Stonóg: „Cóż to, bracia moi,
Także studentom bawić się przystoi?
Zrazu wrzask pjany, a potem szmer cichy,
Mamyż ucztować jak zbójcy lub mnichy?
Inne zwyczaje były za mych czasów,
Gdy na majówce wśród Bielańskich lasów
Przy obozowem piliśmy ognisku,
Łącząc się wszyscy w braterskim uścisku.
Tam były pieśni!... między waszym gminem
Czyż nie ma barda albo menestrela?
Serce człowieka piwo rozwesela,
Ale poezja jest dla myśli winem!“
Na to wezwanie wstał Kalembur młody
I deklamował jakieś czułe ody.

Ziewnęli na to ten i ów po cichu
I zatopili swe nudy w kielichu.
A na to Stonóg: „Nasz Kalembur młody
Tylko piękności i miłości służy,
Niechaj daruje, że w studenckim gronie
Nie masz dziewicy, coby mu na łonie
Wdzięczna przypięła marny kwiatek róży!“
„Jest, jest dziewica! — ktoś z kąta ozwie się —
„Właśnie Marysia świeże piwo niesie!“
Parsknęli wszyscy i ucichli potem,
A Stonóg dalej tak znów mówił o tem,
Co zaczął: „Innego trzeba nam barda!
Bo student innej chce ody, piosenki!
Niech ona będzie i dzika i twarda
Jak hałas rogów i oręża szczęki —
Niechaj uderzy jako grzmot o ściany,
Niech od niej zadrżą wrogie Boliany!
Kto taką piosnkę nam tutaj zaśpiewa?
Kto! Czekamy! Kto? nikt się nie odzywa?“
Cisza ponura zaległa dokoła.
A wtem Birbancki: „Ja śpiewam — zawoła —
Nieraz pieśń taką w knajpie ja śpiewałem,
Gdy na komersy dawniejsze chadzałem —
Lecz ci, co pieśni mej dawali ucha,
Jednych mogiła pokryła już głucha,
Inni bezpłatnie gdzieś tam w sądzie piszą
I tylko piór skrzyp i głos woźnych słyszą...
A u własnego inni już ogniska
Słyszą, jak mile skrzypi im kołyska!
Lecz precz te myśli! na bok z tem wspomnieniem,
Radości naszej nie kryjmy tym cieniem.

Dalej wesoło nastrójmy swe głosy
I pieśń wesoła niech bije w niebiosy!“
„Wiwat nasz Kuba!“ (Kubą Staszka zwano)
Rozgłośnie w koło chórem zawołano,
A Staszek w koło dumnie okiem rzucił
I taką piosnkę swym basem zanucił:
„Już gruzy z murów Krakowa padały,
W serca obrońców wkradło się zwątpienie,
Już roty Szwedów na mur się wdzierały
I od granatów wszczęły się płomienie.
Wśród grzmotu armat i walczących krzyku
Chrobry Czarniecki odwagi nie traci.
Od jego szabli wróg pada bez liku,
Krwią swoją płacąc za krew naszych braci.
Szturm już odparty. Lecz co jutro będzie?
Szwed się przybliżył, już podkłada miny,
Przemocą Kraków zwątpiony zdobędzie —
Krótkie wolności zostały godziny!
Dumał na murach wódz nasz przy ognisku,
Gdy się doń garstka zbliżyła studentów;
Wódz im wskazuje coś po bojowisku,
Wskazuje rozkład szwedzkich regimentów
I gdzie szwedzkiego króla jest kwatera.
Kiedy wódz skończył, uścisnął młodziany
I łza mu z oczu popłynęła szczera,
Gdy ich wyprawiał za Krakowa bramy.
I znowu cisza w koło panowała,
Tylko strażnicy na murach czuwali;
Snem przekrzepiają mieszkańcy swe ciała,
Dawno bez huku armat już nie spali.
Wtem od tej strony, gdzie są Bernardyny,
Bębny w obozie szwedzkim się ozwały —

Znać niespodziane zaszły tam nowiny...
Król najezdników, jego generały,
W kościele właśnie u stopni ołtarza
Zasiedli kołem do wspólnej biesiady
I wszyscy pieszczą nadzieje mocarza,
Że dzień już bliski Krakowa zagłady,
Że wkrótce ucztę wyprawią w stolicy,
Pić będą wino puhary mszalnymi
W zamkowej króla polskiego kaplicy.
Gdy się chełpili właśnie słowy temi,
Bębny w obozie zdala się ozwały —
Wstał orszak króla zadziwiony cały,
Wtem drzwi kościelne otwarły się z trzaskiem —
Nasi studenci wpadli do kościoła,
Strzał z przerażenia połączył się wrzaskiem
I popłoch powstał wśród Szwedów dokoła.
Król Szwedów pierwszy uciekł od biesiady,
Za nim się reszta w popłochu rzuciła;
Z bronią studenci pobiegli w ich ślady
I od ich razów legło wrogów siła —
Sam Karol Gustaw pałaszem raniony
Ledwo ocalał w haniebnej ucieczce
I cały oddział Szwedów przelękniony
Uległ odważnej studentów wycieczce.
Krzyki walczących i muszkietów strzały
Mieszkańców miasta z uśpienia wyrwały;
Wybiegli z domów wszyscy potrwożeni,
Myśląc, że Szwedzi szturm znów przypuścili,
Chcąc miasto podejść pośród nocy cieni.
Lecz uspokoił ich wódz w jednej chwili,
Gdy im obwieścił radosne nowiny,

Że to wycieczka ze strony Polaków
I że nie prędko Szwedzi wezmą Kraków.
Ledwo dzień powstał, słońce zaświeciło,
Wszyscy wybiegli na wieże, na wały,
I całe miasto jak gdyby odżyło,
Kiedy studentów hufce powracały,
Sławą okryte ale i ranami.
Niech żyją dzielni! lud zebrany woła,
I radość wszędzie panuje dokoła.
Męstwo walecznych wdzięczny lud czcią święci
I wielkość przodków wiecznym nam przykładem.
Niechaj więc żyją na wieki w pamięci,
Niechaj potomki idą za ich śladem,
Krzyknijcie: Wiwat krakowscy studenci!“
Tak śpiewał Staszek, a wszyscy na sali
Dzielnego Staszka za ręce ściskali.
Lecz że już późno, że ten, ów już śpiący,
A więc z kielichem wstał przewodniczący,
Zakończa ucztę wedle tradycyje
I staropolskie: „Kochajmy się!“ pije,
Potem ogłasza, że tradycyjnego
Zrobić należy po mieście „gęsiego“,
Wszyscy się zebrać mają biesiadnicy
Przed bramą knajpy, razem na ulicy.
Tak radził Stonóg. Słuchali go radzi,
Mędrszego słuchać nigdy nie zawadzi.
Więc gdy już wszyscy stanęli przed progiem,
Krzyknęli: „Naprzód za naszym Stonogiem!“
Stanęli razem. Już Stonóg na przedzie
Staje gromady, on naprzód powiedzie.
Na hasło wszystko w szereg się gromadzi —
Daje znak Stonóg — „gęsiego“ prowadzi;

Sznur się rozwija, ciągle w długość rośnie,
Jak gdyby z kłębka wysnuta nić w krośnie.
Idą „gęsiego“ nasi przyjaciele,
A z nimi Lerman, Rubinstein, Kitzele.
Na przodzie Stonóg — odbijają buty
Od bruku, czasem podkręca wąs suty,
Stąpa powoli, niby od niechcenia,
Lecz z kroku jego, z każdego ruszenia
Wyczytasz myśli i uczucie jego.
Nagle zawraca na prawo gęsiego —
Staje na miejscu — laską na znak wstrząsa —
Skręca znów w lewo i podkręca wąsa.
Skręcił a wszyscy biegą w jego ślady.
On policjanta chce wziąć do gromady,
Więc staje przed nim, rękę w górę wznosi,
I by go w koło okrążyli, prosi.
Policjant radby na bok się uchylić,
Odmienia drogę, chce ich plany zmylić.
Lecz go dokoła ścigają natręty.
I obwijają tanecznymi skręty.
Więc groźnie rękę na rękojeść składa,
Jak gdyby mówił: Zdaleka — lub biada!
Zwraca się z dumą i wyzwaniem w oku
Prosto w tłum — lecz ci nie ustąpią kroku,
Zmieniwszy szyki obstępują w koło
I maszerują, śpiewając wesoło.
Zwraca się Stonóg. Na prawo prowadzi,
Reszta się za nim znów w szereg gromadzi —
Zagasza lampę, znów skręca na lewo,
Okrąża chyłkiem stojące tam drzewo,
Robi ósemkę, łączy szereg w dwoje.
Jak wąż w tysiączne łamiący się zwoje

Kręci się „gęsi“, splata się i zwija,
Bierze przechodniów w koło lub wymija.
Ci ustępują, Stonóg zmienia szyki,
Znów ich zagarnia. Brzmią zewsząd okrzyki:
Ach! to może ostatni! patrzcie młodzi!
Ostatni, który „gęsiego“ tak wodzi!
I szli tak dalej, śpiewając wesoło,
I budząc podziw przechodniów w około.



PIEŚŃ IV.

BITWA.

Ledwo, że przeszli święty próg kościoła,
Ujrzeli tłumy Kleparzan dokoła,
A wszyscy zbrojni w kije i patyki,
A zewsząd wznoszą wojenne okrzyki.
Co to jest? myślą oni akademicy,
I rżną spokojnie prosto ku ulicy.
Tu mur cmentarny kościół opasuje,
W nim jedna brama tylko się znajduje.
Ku niej zdążają nasi przyjaciele,
A wśród nich Lerman, Rubinstein, Kitzele.
Wtem lotny kamień świsnął wśród eteru,
Zmiażdżył cylindry z akademji czteru.
Na to Byczkiewicz, chociaż człek spokojny,
Dał mimowoli początek do wojny:
Mularza schwycił atakującego
I laską dobrze strzepał surdut jego.

Było to jawne walki rozpoczęcie,
Więc jakiś mularz jął krzyczeć zawzięcie:
„Hurra! Walcieno — tłuczcie heretyki!
Niech pomną Kleparz te akademiki!“
Ścisły się tłumy — naprzód postąpiły;
Za małe miała akademja siły —
Bronią się zatem jak mogą laskami,
A tu jak gradem sypią kamieniami.
Widzi to Stonóg. Stał z boku przy murze,
Niechętny bardzo takiej awanturze,
Ale spostrzegłszy, że źle wkrótce będzie,
Chciał im dopomódz i stanął też w rzędzie.
Potem rozważnie rzekł skrzydlate słowo:
„Cny mój Dekalski! Stańno tu z połową,
Ja z drugą w bramie odwrót zabezpieczę —
W ten sposób każdy cały ztąd ucieczе!“
Tak radził Stonóg. Słuchali go radzi,
Mędrszego słuchać nigdy nie zawadzi.
Więc garstka mężnych wzniosła laski w górę
I jak lew wpadła w straszną wrogów chmurę.
A czegóż mężnych odwaga nie złamie?
Błysły cylindry walecznych przy bramie,
Otwarli drogę drżąc nieprzyjaciele
I pierwsi drapli Rubinstein, Kitzele,
Za nimi Lerman przy boku Deichesa,
Salomon Cypres obok Margulesa,
Goldbaum, Horowitz, starszy Patzanower,
Apfelbaum, Birnbaum i Izak Rakower,
Szczęśliwi, że się raz za mur dostali,
A Stonóg z resztą tuż za nimi wali;
Radzi, iż uszli na razie pogromu,
Chcieli powracać spokojnie do domu —

Lecz ich zwodnicze nadzieje zmyliły,
Bo odwrót zamkły inne wrogów siły —
Nowe wyległy mularzy szeregi,
Groźne i długie jako morza brzegi;
Równe tu trwogi, chociaż wrogi inne,
Widzą, że z deszczu — popadli pod rynnę.
Widzi to Stonóg. Gromadzi słuchaczy,
Zbiera do siebie i krzyczy, że raczej
Zginąć, niż drapnąć sromotnie, przystoi.
„Naprzód więc razem, kędy zajazd stoi!“
Tak radził Stonóg. Słuchali go radzi,
Mędrszego słuchać nigdy nie zawadzi.
Napastliwemu broniąc się wrogowi,
Z honorem idą ku Mateuszowi,
A razem z nimi, choć się trwożą wiele,
Ciągnie i Lerman, Rubinstein, Kitzele.
Tam pod zajazdem, pod domem i płotem,
Uszykowani poza fosą z błotem,
Mogą bezpiecznie stawić wrogom czoło.
Rozkazy Stonóg wydaje w około.
W sam czas ukończył wojska szykowanie,
Bo wróg nadchodzi, nastaje już na nie.
Stonóg na czele jak głaz wryty stoi,
Bo chłop jest tęgi i nic się nie boi.
Obok Kośmiński, Barański, Kaczkowski,
Karbownik, Bekas, Popiel, Gawlikowski
(Bo Gawlikowski, chociaż demokrata,
W bitwie mularza nie mógł mieć za brata),
Nawet Habakuk, choć wielki klerykał,
Przecież się z wrogiem dość tęgo borykał,
I Szyszkiewicz trzymał się też wcale,
Walcząc przy dzikim litewskim Pukale.

ham

Doktór Abramel cwiker na nos wsadził,
I choć się nie bił, jak bić za to radził.
(Jako mecenas, radzić mu przystoi,
Rad mecenasa, także człek się boi).
A Staszek z boku w koło kijem ściele,
Kryją się za nim Rubinstein, Kitzele,
Za nimi Lerman u boku Deichesa,
Salomon Cypres obok Margulesa —
Tak się tam działo; walczyli rozpacznie,
Czekając, rychło wróg uciekać zacznie.
Lecz gorzej, gorzej na prawo się działo,
Choć poszli w pomoc Dekalski, Pukało
Mimo wysileń, pomimo odwagi,
Nie mogą zyskać na prawo przewagi,
Bo straszną bronią walczą przeciwnicy,
Sprostać nie mogą im akademicy.
Mularze widząc taki opór dzielny,
Z rozpaczy wpadli na pomysł piekielny:
Przynoszą ceber niesłychanie duży,
A z niego wapno gaszone się kurzy;
Jedni to wapno mieszają kijami,
Reszta zaś zbrojna długimi pędzlami —
Macza je w wapnie i swych wrogów twarze
Piekielnym płynem niegodziwie maże.
Cofli się nasi — już nieład się szerzy,
Aż im na pomoc — Atene przybieży.
Przybrawszy postać jednego z mularzy,
Krzyknęła w tłumie niepoznana z twarzy:
„W nogi kto żyje! idą polikiery!“
Na to mularze drapli w strony cztery,
A nasi ceber z wapnem porywają
I znowu w szyku swym bojowym stają.

Wróg jednak wraca i rzuca się hurmem
I chce swój ceber odebrać im szturmem.
Na Byczkiewicza drab ogromny bieży,
Wielkim kamieniem prosto w głowę mierzy;
Możeby głowę rozbił mu na ćwierci —
Schylił się Byczek — i tak uszedł śmierci.
Gdy tak na prawo zacięcie walczyli,
Na lewo ku nam zwycięstwo się chyli.
I tam mularze wapnem kropić jęli;
Lecz parasole nasi rozwinęli
I za tą tarczą postępując raźnie,
Wrogom okrutną urządzili łaźnię.
Tu dzielny Malchus z grubym kijem w ręku,
Gdzie skinie ręką — słychać odgłos jęku,
Choć ranny, chociaż oblany posoką,
Stał niewzruszony — istny lew na oko,
Gdy dumnie kroczy zjadłszy w polu byka,
A człek i zwierzę trwożnie przed nim zmyka.
Drżą przed nim wrogi, popłoch na nie pada
I uciekają jako wołów stada,
Gdy nań rój bąków siądzie nielitośny,
Tnąc woły żądłem, co bywa wśród wiosny.
Więc w jego stronę masa się rzuciła,
Liczba przemoże, gdzie nie starczy siła.
Biega więc tłumem, silniejsi na przedzie,
I nagle Malchus znalazł się tam w biedzie.
Ujrzał to Staszek. Świętą natchnion mocą,
Na nieprzyjaciół przyszedł mu z pomocą.
Wróg rzucił pocisk. Chybił poniewoli
I tak uniknął Staszek czarnej doli,
Wywinął kijem i naprzód dał susa
I wraz się znalazł przy boku Malchusa.

Ów drab, co pierwej napadł Byczkiewicza,
Chciał teraz cegłą sprzątnąć Malhiewicza.
Pędzi więc z cegłą i pogróżki miota,
A bieży za nim z kijami hołota.
Palnął go Staszek, wypadła mu cegła
I rozłupana u stóp Malcha legła;
Innym kamykiem dostał Malchus w ramię,
Lecz pocisk ledwo, że zostawił znamię.
Więc Malchus na to zawołał radośny:
„Widzisz ty drabie, ty junaku sprośny,
Nie będziesz chełpił się w swojej głupocie,
Boć się znaleźli wzdy silniejsi od cię!“
Drab przerażony do kolan się schylił,
Prośbą o litość żałośnie doń kwilił.
Lecz twardy Malchus kijem machnął wściekły
I draba oczy nocą się powlekły.
Reszta wstrzymała kroku przerażona,
Łatwo już męstwo zwycięstwa dokona.
  Lecz mimo zwycięstw, wrogów nie ubywa,
Aż Stonogowi myśl przyszła szczęśliwa.
Wpada co żywo w dom Mateuszowy,
Bieży z kilkoma na strych zajazdowy.
  Biegą po schodach, a przez domu mury
Krzyk dolatuje do ucha ponury,
Co trwożną Manię obawą przenika.
Przybyli na strych — wyjrzeli z dymnika.
Ztąd, z wysokości, sięgało ich oko
Na boju przestrzeń, daleko — szeroko.
Zdala od Rondla aże do kościoła
Plac zbrojnym ludem zalany dokoła,
Ciągną się liczne mularzy szeregi,
Długie i groźne, jako morza brzegi,

Chłop tuż przy chłopie, jako w beczce śledzie,
Lecz dla swej liczby w tem większej są biedzie,
Bo garstka naszych, pod domem skupiona,
Nie jest od wszystkich na raz zaczepiona.
Wrzeszczą mularze i naprzód się pchają
I w ciągłym biegu swych wrogów szukają.
Ztąd nieład wśród nich i brak jest jedności
I wygrać trudno, choć w takiej ilości;
Więc choć już walka trwała od godziny,
Nie cofnął kroku nikt z naszej drużyny.
Farmaceuci wprawdzie nogę dali,
Jednak koledzy ich nie żałowali;
(Farmaceuci bowiem nie lubiani,
Choć w modnym stroju, choć perfumowani,
Bo chociaż żaden nie ma z nich matury,
To jednak strasznie nos swój drże do góry).
Tak szyki naszych trzymały się dzielnie,
Choć wobec wrogów małe są djabelnie,
A gdy ważnego coś w walce się stanie,
Wraz słychać o tem dokoła wołanie;
Tak gdy zobaczy „prawo“ gdzieś medyka,
Jak dzielnie kijem wali przeciwnika,
Zazaz się w „prawie“ krzyk rozgłośny wszczyna:
„Wiwat krajacze, wiwat medycyna!“
A gdy znów prawnik kogo tęgo bije,
Grzmi medycyna: „Niechaj prawo żyje!“
Tak wszyscy nasi ciągle walczą śmiele,
Lecz gdzież jest Lerman, Rubinstein, Kitzele?
Czyż ich pominąć ma zwycięstwa chwała,
Czyżby ma Muza o nich zamilczała?
Kiedy w wir walki wpadli poniewoli,
Kryli się w tyle, by ujść smutnej doli,

Lecz mimochodem w takowym szlachtuzie,
Dostali przecież po niejednym guzie,
A więc przemyślni, za beczką ukryci,
Udają leżąc, że są już zabici.
Lecz jakiś szewczyk wziął za nos Kitzela,
Chcąc skonstatować śmierć nieprzyjaciela.
Żydkowie nie chcą wydać znaku życia,
Aby pocięglem nie wziąć jeszcze bicia,
Cierpliwie znoszą za nosy ciągnienie
I zatrzymują w piersiach wszelkie tchnienie.
Ale Kitzele był zakatarzony —
I nagle kichnął — za nos pociągniony.
Więc szewczyk sądząc, że tylko zemdleni,
Wkrótce już pójdą do grobowych cieni —
Dusze ocalić chciał od potępienia
I wraz się zabrał do żydów ochrzczenia.
Zaczerpnął wody — tego już za wiele!
Zerwał się Lerman, Rubinstein, Kitzele,
Zmykają szybko, ścigani razami,
Aż się ukryli za innych plecami,
Którzy wstrzymują napaść wrogów częstą,
Choć zasypani masą cegieł gęstą.
Oj! myśl szczęśliwa była to Stonoga,
By z strychu, z góry zabrać się do wroga!
Na strychu bowiem było cegieł wiela,
Temi z dymników tną nieprzyjaciela.
Aż wtem spostrzegli ze swej wysokości,
Że idzie patrol w niezwykłej ilości.
Źle — myśli Stonóg, będziem przycapieni
I jeszcze razem do kozy wsadzeni!
A więc co żywo walki zaprzestaje
I do ucieczki znaki swoim daje.

Gdy polikierzy mularzy już gonią,
Nasi przez wrota do domu się chronią;
Mateusz bramę czemprędzej zamyka,
A przez drzwi tylne wszystko prędko zmyka,
Tylko pod Mani milusiej pościele
Skryli się Lerman, Rubinstein, Kitzele.



PIEŚŃ V.

NOWINY.

Chyłkiem nasz Staszek zmykał pokryjomu,
By ocalawszy, dostać się do domu.
Walczył on dzielnie przed zajazdu progiem,
Walczył odważnie pod mądrym Stonogiem.
Mężnych dzieł jego cyfra jest nie mała,
Choć Muza moja o nim zamilczała.
Wyminął w drodze polikierów wielu,
Aż przybył wreszcie do swojego celu.
Kontent, że bitew skończyła się era,
Do toalety swojej się zabiera.
Z lubością sobie papierosa kurzy,
A stare palto za szlafrok mu służy.
Wdział też pantofle cudnie wyszywane
I na odjezdnem przez siostrę mu dane,
Na nich lśnią barwy żółte i zielone,
A w środku z góry floresy czerwone.

Tak oto Staszek nasz w domu ubrany
Opatrzył guzy i ukoił rany;
Potem otworzył System praw Ungera
I do nauki swojej się zabiera,
Kiedy leciutko ktoś do drzwi zapukał.
„Herein“ — rzekł Staszek i klucza poszukał,
Otworzył pokój nieco niespokojny,
Czy nie policja szuka sprawcy wojny.
Lecz to Mateusz weszedł przygarbiony
I rzekł doń: „Niechaj będzie pochwalony!
Pamdonóg — niosę przeróżne nowiny.
Toż było lanie, toż to były chrzciny!
Pozwól pan spocząć, niech trochę wysapię“.
„Proszę — rzekł Staszek — siądź pan na kanapie —
Mów pan co słychać, co się działo potem,
Gdyśmy... odeszli, bo nic nie wiem o tem“.
„Była to heca — rzekł więc gość po chwili —
Gdyście panowie dom mój opuścili;
Bo policyja wystąpiła mnogo,
Chcąc burzycieli wziąć do kozy srogo,
Lecz że się boi człek każdy niewoli,
Więc nikt się nie chciał dać zabrać patroli;
Rozbiegł się naród w wsze strony dokoła,
Łapać ich była nie mała mozoła;
Tego, owego gdzie go przycapiono,
Winny, niewinny do kozy pędzono.
I polikierom przytem się dostało,
Bo się to naród rozmachał nie mało,
Sypał kamieńmi i walił kijami
Jak gdyby dalej walczył jeszcze z wami.
No, ale wreszcie spokój przywrócono —
Zęby wybite koszami noszono,

Włosy wydarte niósł wiater daleko,
A krew w rynsztokach płynęła jak rzeką.
Potem robiono u mnie rewizyją,
Czy burzyciele jacy się nie kryją.
Trzech żydków jakichś znaleźli w pościeli,
Lecz ich do kozy ze sobą nie wzięli,
Bo to tchórzliwe tak biedactwo było,
Że im się chyba o bitkach nie śniło,
A jeśli byli przy tej awanturze,
To pewno w mysiej siedzieli gdzieś dziurze".
Tak rzekł Mateusz, wziął fajkę do gęby,
Pociągnął, westchnął, puścił dymu kłęby.
„Najgorzej — rzekł znów po chwili milczenia —
Że ksiądz był ranion także od kamienia,
I to od swoich własnych przyjacieli.
Jechał fiakrem — oni nie wiedzieli;
Myśląc, że który z nieprzyjaciół zmyka,
„Łapaj! — krzyknęli — bij akademika!"
Lunął kamieni grad ku powozowi,
No — i niewinnie stłukli nos księdzowi.
Tak to we wojnie padają ofiary,
Winny, niewinny — nie ma żadnej miary...
Biedny księżyna! krew ciekła mu nosem,
Nie złością wrogów, lecz nieszczęsnym losem —
Lecz każdą kroplę Bóg z nieba policzy,
Za każdą odda mu kielich słodyczy!..."
Tak rzekłszy, westchnął pan Mateusz smutny,
Puścił z swej fajki kłęb dymu okrutny,
Potem wstał nagle — coś przypomniał sobie,
Zafrasowany po głowie się skrobie,
Więc wziąwszy rękę pana Stanisława,
Rzekł: „Inna tutaj przywiodła mię sprawa,

Niż mówić o tem, co pan już wie może...
Lecz człek ma tyle kłopotów — mój Boże! —
Że nieraz nie wie, gdzie jest jego głowa.
Więc moją sprawę w krótkie powiem słowa:
Oto na przyszłą, da Pan Bóg, niedzielę,
Będzie mej wnuczki Maryni wesele,
Bo jej iść zamąż dobrze się trafiło,
Więc i małżeństwo szybko się skleiło.
Jej narzeczony jest to człek porządny,
Młody i trzeźwy, przystojny, rozsądny,
Z dobrej rodziny (ojciec był ślusarzem,
Stryj jest ekspresem a brat aptekarzem);
Był przy ułanach, przy wojsku firerem,
A teraz został w sądzie amtsdynerem.
On ma pensyjkę, ja też z łaski nieba
Także tam kęsek zostawię im chleba,
Więc też nie długie były ceregiele
I wkrótce w domu będę mieć wesele.
Gdy z wolą Bożą stanęła tak sprawa,
Śmiem w drużby prosić pana Stanisława.
Honor to będzie dla naszej rodziny,
Gdy pan zaszczyci skromne zaślubiny;
Będziemy wdzięczni, ja i państwo młodzi,
Gdy drużbą będzie zacny pan dobrodziej,
Bo my widzimy w panu przyjaciela
I to nas tylko do prośby ośmiela“.
Nasz Staszek słuchał na poły zdziwiony
Tą wiadomością, na poły zmartwiony,
Gdy mu Mateusz rzekł o tej nowinie,
Bo kochał trochę milusią Marynię..
Więc milczał chwilę, aż się opanował,
W serca tajnikach uczucia zachował,

Przyrzekł być drużbą przy ślubie w kościele,
Przyrzekł zaszczycić Maryni wesele.

* * *

„Pod telegrafem“ aż pękają ściany,
Tak cały areszt więźniami zapchany.
Tam na barłogu przy nędznej łojówce,
Spoczęły dzielne, lecz nieszczęsne hufce.
Tam spoczął cały prawie kwiat Kleparza,
Licząc od szewca, krawca, do mularza.
Lecz właśnie wielość biednych ocaliła,
Bo trudno karać, gdzie przestępców tyla.
A więc nazajutrz rankiem ich puszczono
I noc aresztu w karę policzono.
Tak powrócili do codziennej pracy;
Czcią otoczyli ich wdzięczni rodacy,
I szyją buty tak jak dawniej szyli,
I noszą cegły jak dawniej nosili,
Zgoda zakwitła wśród obywateli,
Którzy o walce wkrótce zapomnieli.
Wprawiono szyby, rynek zamieciono,
Do zwyczajnego życia powrócono.
Czasem wieczorem, o szarej godzinie,
Pater familjas siadłszy przy rodzinie,
Drzwi od Europy zamknąwszy hałasów,
Wyrwie się myślą do tych dawnych czasów,
Jakie tu dawniej toczyły się boje...
Ale studentów z Kleparzem zażyłość
Poszła w niepamięć. Tylko czasem miłość
Ich jeszcze zbliża. Znałem ludzi dwoje —



PIEŚŃ VI.

LOSY ZAJAZDU.

Od rana życie w zajeździe kipiało,
Od rana gości ciągle przybywało.
Dziś w całym domu wrzawy, stuku wiele,
Bo dzisiaj pięknej Maryni wesele.
Już goście liczni zgromadzeni w sali,
Czekając uczty, w koło rozmawiali,
Kiedy Mateusz w swym odświętnym stroju
Zjawił się nagle pośród gości roju.
Uprzejmie prosi, by miejsca zajęli
I dary Boże spożywać zaczęli.
Więc wszczął się rwetes, proszenie, stukanie,
Nim się rozsiedli panowie i panie.
Na pierwszem miejscu zasiadł ksiądz Dobrodziej
Bolian — choć rzadko po weselach chodzi;
On uroczyście rano po mszy w farze
Stułą powiązał ręce młodej parze.

Biedna kanapa obok się ugina,
Gdzie siedzi strasznie gruba starościna,
Starosta obok; człowiek wprawdzie mały,
Dźwiga na twarzy jednak nos wspaniały,
Przy niej znów siedzi Mani ciotka stara,
Naprzeciw księdza zaś weselna para.
Dalej zasiedli domu przyjaciele
I zaproszeni goście na wesele.
Kręcą się wszędzie druchny i drużbowie,
Gotowi w kącie są muzykantowie.
Nasz Staszek drużba w wirze promienieje,
A usług jego nie zapomną dzieje.
Ogromny bukiet ma u swego fraka,
Pod pachą dzierży z szykiem szapoklaka,
W koło się kręci, pannom nadskakuje,
Niskie ukłony zewsząd otrzymuje.
On towarzystwa jest duszą całego,
Każdy z szacunkiem spogląda na niego,
Bo on tu słońcem, które promienieje,
Oświeca wszystkich i dowcipem grzeje,
W około niego kręcą się planety,
Starzy i młodzi, a zwłaszcza kobiety;
Uprzejmie w koło rozmowami bawi,
Pannom do uszek komplementa prawi,
Podaje placki, podaje talerze,
Nalewa szklanki, wypróżnione bierze
I coraz nowe butelki przynosi,
Nalewa wszystkim i ciągle pić prosi.
Pić się wzbraniają szczególniej kobiety,
Więc trunku wszystkie wylicza zalety,
Jak grzeje w zimie, a jak ziębi w lecie,
Przynosi ulgę, kiedy troska gniecie,

Chorych uzdrawia, a zdrowym nie szkodzi,
Więc go pić winni i starzy i młodzi.
Tak służył Staszek, jak drużbie przystało,
Z radością wszystkich, aplauzem i chwałą.
Wdzięczna mu za to Marynia nie mało,
Główką mu kiwa na znak swej wdzięczności,
Raz w raz pan młody ciśnie się przez gości
I dłoń mu ściska, że aż trzeszczą kości.
Stary Mateusz wciąż przy Staszka boku,
Zabawę gości ma pilnie na oku,
Staszkowi szepce porady do ucha,
Nawzajem pilnie jego zleceń słucha,
Tam i napowrót drepce wciąż dokoła,
Bacząc, czy czego nie braknie u stoła,
Czasem do kuchni, piwnicy zaziera,
I kontent ręce z radością zaciera.
Jedyna troska gniecie Mateusza,
Że grzeczność fajkę porzucić go zmusza,
Porcelanową tę fajkę z odlewką
I przykrywaną mosiężną pokrywką.
Czasem zapomni, sięga do cybucha,
Chce nabić fajkę tytoniem z kapciucha,
A wtem przypomni — ręka mu opada
I z żalem fajkę do kieszeni wkłada,
Porcelanową swą fajkę z odlewką
I przykrywaną mosiężną pokrywką.
Wtem krząknął proboszcz, dźwignął się z siedzenia,
Więc zaprzestano picia i jedzenia,
Widząc, że proboszcz chce wystąpić z mową;
Wśród ciszy zatem rzekł ksiądz lotne słowo:
„Z radością zawsze wchodzę w wasze progi,
Pomiędzy ludek zawsze dla mnie drogi;

U ludu, u was panowie mieszczanie,
Wiara, pobożność, jeszcze niezachwiane,
A to fundament jest szczęścia wiecznego.
Więc wiary strzeżcie, klejnotu waszego;
Ona od grzechu dzielnie was osłoni,
Ona was wyrwie ze światowej toni,
I z nią bezpieczni, jako z talizmanem,
Staniecie na sąd odważni przed Panem.
Wiary więc strzeżcie; uczcie wasze dziatki
Wiary, miłości dla kościoła-matki.
Takie życzenia składam oto w darze
Dziś połączonej młodej ślubnej parze,
Życzę im tego i zdrowie ich wznoszę
I duszkiem toast wychylić ten proszę!“
Tu ksiądz wychylił swój kieliszek mały.
Krzyknięto: „Wiwat!“ szklanki zabrzęczały,
Muzyka z kąta wygrywa fanfary
Na powodzenie i cześć młodej pary;
Dziękują księdzu za jego życzenia
I znów się biorą do picia, jedzenia.
A ile pito! Któż powiedzieć zdoła,
Ile butelek obeszło dokoła!
Ile indyków, babek i placków zjedzono,
Ile tam mówek sobie wypalono —
Żaden poeta tego nie wypowie.
Pito więc najprzód za proboszcza zdrowie,
Potem starosty, pani starościny,
Gości obecnych na godach Maryni.
Wreszcie Mateusz, choć zwykle milczący,
Wziął w rękę kielich i w mowie gorącej
Toast naszego pije Staszka-drużby,
Licząc zalety jego dzielnej służby.

„Wiwat!“ krzyknęli wszyscy dookoła
I wszczął się rumor u całego stoła,
Bo go już wszyscy z serca pokochali,
Ci nawet, co go ledwo dziś poznali.
A na to Staszek z godnością powstaje
I że chce mówić, znaki w koło daje.
Umilkli wszyscy, zasiedli dokoła,
I znowu cisza zaległa u stoła,
Widzą, że znowu będzie do nich mowa,
A Staszek wtedy rzekł skrzydlate słowa:
„Księże proboszczu i przezacne panie!
Weselni goście! panowie mieszczanie!
Z serca za toast życzliwy dziękuję
I odpowiedzieć toastem sprobuję.
Pito już zdrowie księdza Boliana,
I pani młodej i młodego pana,
Starosty, gości i waszego sługi
— Tu Staszek oddał w koło pokłon długi. —
Ja się oderwę od teraźniejszości
I wzniosę toast, lecz toast — przyszłości.
Niech młodej pary ród nie zginie marnie,
Lecz niech zbogaci pobożną owczarnię
Księdza proboszcza kilku owieczkami,
Kilkorą córek i kilku synami...“
Tu skromna Mania oblała się pąsem,
Pan młody krząknął i pokręcił wąsem,
Mateusz krzyknął z kąta: „Brawo! brawo!“
Śmieli się wszyscy na lewo i prawo,
Nawet ksiądz proboszcz uśmiechnąć się raczył,
A Staszek dalej tak myśl swą tłomaczył:
„Już gość szanowny, ksiądz proboszcz Dobrodziej,
Wspomniał, jak dzieci wychować się godzi,

Jak trzeba uczyć ich religijności,
Wiary, nadziei, kościoła miłości;
Ja tu przypomnieć pragnę jeszcze wiele,
Co umieć winni oni obywatele —
Nietylko starać się winni do nieba,
Lecz i o świecie pamiętać coś trzeba..."
Tu ksiądz, co dotąd potakiwał głową,
Drgnął niespokojnie na ostatnie słowo,
Bo przeczuł w mowie coś heretyckiego,
Staszek zaś ciągnął nie bacząc na niego:
„Trzeba pamiętać na ojczyznę miłą
I dla jej dobra walczyć całą siłą,
A jako żeglarz pośród morskiej jazdy,
Bieży za blaskiem przewodniczki gwiazdy,
Tak my kierujmy statkiem życia swego,
Myślą o kraju i o szczęściu jego.
Gospodarz zacny przykładem tu świeci;
Bowiem, gdy rok był sześćdziesiąty trzeci,
Jak tylko wieści nadeszły z Warszawy,
Że lud bezbronny Moskale mordują
I w cytadelę lub Sybir pakują,
W lot pan Mateusz wziął się do tej sprawy:
Nocą, wieczorem, pomału, pocichu,
Przy pogawędce albo przy kielichu
Zbierał na pomoc wszędzie ochotników,
Czy to studentów, czy to rzemieślników,
I do Królestwa ruszyli Polskiego,
Gdzie brzmiał głos miły: „Witaj nam kolego!"
Tak pan Mateusz był między pierwszymi,
Dopiero drudzy szli w ślady za nimi,
Poszli Walterzy, Kosiński, Kurkiewicz,
Kosz, Korytkiewicz, Weber, Filipkiewicz,

Fischer, Konopka, Wentzel, Wiatrowicze
I wielu innych, których nie policzę,
Kraków kochany z żalem porzucali
I szli, by z Polski wypędzić Moskali.
Takto, szanowni panowie mieszczanie,
Kochali Polskę zawsze Krakowianie,
Zawżdy poświęcić się byli gotowi,
Kiedy szło o to, by pomódz krajowi;
Tutaj Kościuszko powstanie podnosił,
Tu Poniatowski wolność nam ogłosił,
Tutaj rozbitki, zbiegi z za kordonów
Chronili głowę z pod wrogich zagonów;
Zawsze na Kraków patrzą się rodacy,
Bo dla Ojczyzny pierwsi Krakowiacy.
Niech więc przodkowie będą wam przykładem,
Niechaj potomki idą za ich śladem
I niech z dzisiejszej młodej pary dzieci
Przykład podobny dla ich wnuków świeci".

Tak rzekł nasz Staszek. Wszyscy w koło wstali
I za te słowa ręce mu ściskali;
Wtem pan Mateusz rękę w górę wznosi
I do tanecznej sali wszystkich prosi.

Goście usiedli na krzesłach pod ścianą,
Tymczasem salę z sprzętów wypróżniano.
Do tańca prosi podłoga woskowa,
Już i muzyka do grania gotowa,
Schodzi się młodzież tańca niecierpliwa,
Staszka ogólny głos na czoło wzywa.
On zaś przeczuwszy, jakie ma zadanie,
Pragnął ostudzić głowę rozmarzoną,
Więc musiał gości osamotnić grono

I wyszedł na dwór przy ślicznej pogodzie
Odetchnąć chwilę na wieczornym chłodzie.
Wsparł się o studnię, w górę podniósł głowę;
Czuje powietrze ożywcze i zdrowe
I całą piersią powiew wiatru chwyta
I okiem w niebios firmamencie czyta.
Zabłysły gwiazdy. Już jedna i druga,
Już setki, już ich tysiąc mruga.
Kastor z Polluksem jaśnieją na czele,
Zwani u Słowian Lele i Polele
A żydzi zwą ich Rubinstein, Kitzele;
Dalej znów Wagi dwie szale błyskają.
Na nich to Pan Bóg — jak opowiadają —
Przeważył losy z mularzami walki
I na pamiątkę powiesił te szalki,
Na firmamencie nieba nieskończonym.
Na północ płonie płomieniem przymglonym
Błyszczący okrąg Sita dziurawego.
Pan Bóg — jak mówią — przesiewał przez niego
Żydów niegodnych mieszkać w Palestynie,
Za śmierć na Bożym wykonaną Synie;
Drobiazg żydowski przez sito przesiany
Rozbiegł się na świat między chrześciany,
Grubsi i gorsi co zostali w sicie,
Mają za zbrodnie w piekle pędzić życie.
Nieco znów wyżej ponad Sita gwiazdy,
Wóz długi dyszel kieruje do jazdy,
Zwią go dziś często niebieskim tramwajem,
Lub omnibusem dawniejszym zwyczajem,
Mniejsza o nazwę, dość, że tę planetę
Wszyscy za niebios uznali karetę.

Świeci gwiazd reszta rozsiana dokoła,
Których imiona któż wyliczyć zdoła!
Błyskają zdala, mrugają na Staszka,
A że mu głowę zamąciła flaszka,
Więc mu się zdaje, że niebios sklepienie
Zmieniło dzisiaj swoje ubarwienie,
Że tworzy pole bilardu zielone,
Po niem mkną gwiazdy jak bile toczone,
„Bandy“ bilardu, to dziedzińca ramy.
  Tak sobie marzył Staszek zadumany
I myślą bieży na bilardu pole
I z gwiazd układa w myśli karambole:
Oto Oryjon w trzech punktach błyszczący,
Zda mu się jako „nachlaufer“ nęcący,
Kossyopeja tuż na krańcu nieba
Tworzy „siadacza“ — lecz się „cofać“ trzeba,
A z Wozu dyszla nieco nadgiętego
Można też zrobić siadacza „cienkiego“,
Lecz trudny bardzo, niemożliwy prawie...
  Wtem wrzasły głosy: „Panie Stanisławie!“
Ocknął się Staszek, słysząc imię swoje,
Widzi, że czas już wracać na pokoje,
Łyknął powietrza i napił się wody;
Tak odświeżony powrócił na gody.
  Stanęła młodzież dorodna i zdrowa
Parami w koło, do tańca gotowa;
Już też muzyka w kącie ustawiona,
Skrzypce i basy ujęła w ramiona —
Gdy się Staszkowa zjawiła persona.
„Polonez! — krzyknął — zaczniem od polskiego“,
I piękną druchnę wziął do boku swego.

Ruszyły z miejsca poloneza pary,
Tak zacząć każe polski zwyczaj stary.
  Potem plac tańcu starsi opuścili,
Młodzieży miejsca chętnie ustąpili,
Z boku sobie usiedli, pogadanką
Się bawiąc, kuflem, butelką i szklanką.
Młodzież się wzięła zaraz do mazura,
A młoda para wnet gdzieś dała nura,
I tak bez przerwy do samego ranka
Trwała wesoła młodzi pohulanka.

*
* *

  Minęły lata. Jakież w świecie zmiany!
Jaki nowości między Kleparzany!
  Gdzie niezgłębione błota się ciągnęły,
Dziś brukowane ujrzysz tam ulice,
W koło cieniste drzewa zakwitnęły,
Zdobiąc przedmieście piastowskiej stolice.
Lecz niedość na tem, niedość moi mili!
Spojrzyj na Kleparz, gdy się dzień nachyli,
Zobaczysz łunę, co niebios sklepienie
Krwawym płomieniem gazowym obleje,
Którym rozprasza czarne nocy cienie —
  Oto postępu lat ostatnich dzieje!
Lecz niedość na tem. Jeszcze inne zmiany
Zaszły tymczasem między Kleparzany.
Dawniej chałupki, domki parterowe
Zdobiły rynek — dziś, gmachy piętrowe,
Piękne na oko, lecz wewnątrz nikczemne,
Kryją rozpustę i izby karczemne.
Gdzie dawniej polskie widziałeś napisy,
Dziś są na szyldach Pinkasy, Cyprysy —

Gdy to zobaczysz — serce zaboleje,
Bo w tem wyczytasz lat ostatnich dzieje!
Stary zajeździe! Jakież twe koleje?
Przetrwałżeś liczne lat ostatnich zmiany?
Czyż stoją jeszcze twoje stare ściany
Z odartym tynkiem, z małemi oknami?
Stare dymniki czy na twoim grzbiecie
Zostały jeszcze mimo zmian na świecie?
Próżnobyś Kleparz przebiegał szeroki,
Próżnobyś dzisiaj zwrócił tam twe kroki,
Wprawdzie zajazdów znajdziesz jeszcze wiele,
Lecz te z francuska zwą się dziś: hotele,
A wśród nich nie masz zajazdu naszego,
Nie masz ni gruzów, tylko — miejsce jego.
Ziemia, co niegdyś mur jego dźwigała,
Dziś wyrównana, brukowana cała,
Tworzy szeroką i długą ulicę,
Kamienie w bruku jej jedyne świadki,
Co spoglądały na pieśni wypadki,
Lecz nieme — kryją dawne tajemnice.



Do odjeżdżającego

W.P. Jana Traciłowskiego, Dyrektora

Filii Banku Austr.- Węg.

w

Krakowie.

O zacny złota i srebra strażniku,
Kredytu loco główny przewodniku,
Jedziesz do Lwowa wśród wojennej chwili
z Krakowskiej Filji !

Wprawdzie w niej dzisiaj są same papiery,
Trochę miedziaków, nikla worków cztery,
Lecz lud ci ufa i w dobrej wierze
. . . papierki bierze !

Tyś był kredytu zródłem i szafarzem,
A przy tem zawsze dobrym gospodarzem,
Za nim za weksel walutęś wykocił,
weksel się spocił !

Blichtr cię nie mamił, ani firmy sława,
Badałeś pilnie do podpisu prawa,
Czy zaliczkówka, czy też firmą przednia
Banka Ustrzednia.

Badałeś kredyt wekslu akceptanta
I uprawnienie każdego firmanta,
Chociaż in dorso żyro dobre wcale
Langrock Gedale.

Choć weksle przeszły komitet cenzury,
Badałeś jeszcze czy fałszywy który,
Nie uszła oczów twych żadna rimesa
nawet Bazesa

I choć się wzmagał do eskontu nawał,

Tyś się ostrożny nie dał wziąść na kawał,

/ Jednak cię szarpnął Uwerny Założny
teraz obłożny. /

Miał pewne żale do cię lud wybrany,
Ale na gorsze obawia się zmiany,
A nuż następca po tobie zawita
antisemita ?

Więc cię żałuje i żydek niektóry,
Grynwald i Schanzer, Lauer i Merkury,
Cohn et Liebeskind i Bracia Kamslery
i Baumingery.

Westchnie i Schrager, Spira, L. G. Kaden,
Cieszyć z odjazdu nie będzie się żaden,
Nawet za tobą łzę uroni wdowa
S. Peiperowa.

A po za biurem w wolnych twych godzinach
Długo o twoich na bilardzie czynach,
Wspominać będą pobici partnerzy
nawet pacerzy,

Rodzice dzieciom, a wnukom dziadkowie
Każdy twe tryple, cofańce opowie -
Więc cię żegnają z żalem finansisci
i bilardziści.

Kraków, 12. sierpnia 1915.

K. B.

Do

Profesora Karola Olszewskiego.

Po dwakroć uroczysty dzień dzisiaj święcimy
Bo dwie rocznice razem dziś łączymy,
Więc najprzód jedną : ćwierć wieku wspomnienie
Kiedyś do boju szedł nieustraszenie
Drugą coroczną rocznicę imienia
Kiedy składamy dla Ciebie życzenia.
Zanadto rymy nieudolne moje
Abym się porwał uczcić Twoje boje
To Jakubowi gładkim rymem powie
Jakoś na kartę stawiał życie, zdrowie,
Jakoś rycerskim zapałem wiedziony
Poszedł nietrwożny w rzemiosło Bellony
Jak nad bystrego Prądnika falami
Nocą podstępny wróg wziął Cię w niewolę
Prze przeszkodził iść za powstańcami
Iść na zwycięstwa,albo śmierci pole !
Jeślić zwycięstwo czekało na Ciebie
Wezwałbym gromy wszystkich Bogów w niebie
Aby strzaskały tych nowych siepaczy,
Co się przedwcześnie okuli w kajdany
Lecz jeśli miast zwycięstwa,wróg miał raczej
Napaść swą zemstę w Twojej krwi rumiany
I duszę przesłać w Elizejskie kraje-
O ! to podstępnych siepaczy nie łaję,
Wolę,żeś w kozie spał na pryczy twardej
Niżby Cię zabić miał najezdnik hardy !
Niech Jakubowin uczci tę rocznicę
Ony profesorze Krakowskiej wszechnicy,
Ja zaś pamiątkę Twojego imienia,
Streszczając krótko wszystkich tu życzenia:
Żyj nam w najdłuższe Matuzala lata
A w nich niech szczęsne towarzysząc fata
Niech w Twoim mieszku pieniądz się rozpiera
A przed mownicą młódź rojno się zbiera;
Szlachetne zdrowie niech Ci zawsze sprzyja,

W boku żonka piękna jak lelija
Jak Penelopa niech Ci stałą będzie,
A grono dziatek niechaj Cię obsiędzie.
Gdy zatópiony w alchemickiej sztuce
Ku pożytkowi a świata nauce
Wydrzesz naturze skryte tajemnice,
Powiewne gazy w kunsztownej szklenice
W wodę zamienisz przez zmyślne arcana,
W wędzidło pojmiesz samego Wulkana,
Skąd sława Twoja w odległe klimata
Pójdzie,by przetrwać i w najdłuższe lata !
Gdzie dziś jest Troja? gdzie mocne Myceny ?
Gdzie jest Kartago ? Gdzie sławne Ateny ?
Gdzie się gwałtowna moc Rzymu podziała ?
One zginęły - lecz sława została !
Tak Twoje imię niech zawżdy zostanie,
Niechaj się skrypta powołują na nie
Niech obok Franki i chciwe Teutony
Błyśnie imieniem znów polski uczony.
W tem dla Cię szczęsną fortunę widzimy
Tegoż więc z serca szczerego życzymy,
Jeśli zaś jeszcze masz w swej duszy na dnie
Inne życzenia -niech się spełnią snadnie !
Miłe i pożyteczne są różne rośliny
Jak pomarańcze,kapusta,cytryny,
Ananasy,ziemniaki,szparagi,morele
Kalafiory innych roślin wiele
Lecz czyliż która na całym wszechświecie
Warta jest tyle co tytoniu kwiecie ?

28/X. roku 1888.



